

nadodrże

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 630

ZIELONA GÓRA
ROK XXXI NR 21 [652]

18 — 31 X 1987 R.
CENA 20 ZŁ

CZYTELNIA
DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rozmowy
z Konstantym
Andrzejem Kulką
i Ireną Linkiewicz

REWIRY EDUKACJI

Putapka
w
Gorzowie

PECHOWY
DOM

klub
VIDEO
SCENY
mitosne

CO DALEJ?

Alfred Siatecki

Przedstawiciele 25 towarzystw regionalnych, przybyli na VIII Sejmik Kultury Środkowego Nadodrza, mieli powód do radości, kiedy prezes Lubuskiego Towarzystwa Kultury Julian Dobosz omawiał trzydziestoletni dorobek społecznego ruchu kulturalnego na Ziemi Lubuskiej. O znaczących osiągnięciach LTK i sfederowanych w nim towarzystw mówili z uznaniem goście sejmiku, między innymi wojewoda zielonogórski Zbyszko Piwoński i dyrektor departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki Józef Prus.

W tym miejscu przypomnijmy, że regionalne stowarzyszenia kulturalne powstawały w Zielonogórskim nie na czyjeś polecenie, lecz w wyniku przemian społecznych po październiku 1956 roku i o kilka lat wyprzedziły tworzenie się podobnych organizacji w innych województwach. Sprzyjały temu lokalne warunki, ale i taka była potrzeba. Zielonogórskie w przeciwieństwie do innych województw na zachodzie Polski bardzo późno dorobiło się własnych środowisk twórczych, a profesjonalne instytucje artystyczne powstawały powoli i najczęściej z przekształcenia zespołów amatorskich. W pierwszych latach po wyzwoleniu dwa największe ośrodki Ziemi Lubuskiej — Gorzów i Zielona Góra — były miastami małymi i nie przyciągały inteligencji twórczej z Polski centralnej. Inaczej było w Szczecinie i Wrocławiu, inna sytuacja panowała w Opolu i Olsztynie, gdzie albo już mieszkali twórcy, albo w wyniku przemieszczania niektórych instytucji z terenów przedwojennej Polski kresowej bardzo szybko rozwinęło się życie kulturalne, albo też osiedlano pisarzy, dziennikarzy, muzyków. Tak więc Lubuskie Towarzystwo Kultury wyrosło na terenach, gdzie życie kulturalne było niezadowolające, a naukowe prawie nie istniało. Dziś z dumą podkreślamy, że Zielona Góra jest miastem średniej wielkości, ma dwie szkoły wyższe i pokaźne grono własnych profesorów, dwie sceny teatralne, orkiestrę symfoniczną i zespoły kameralne, muzea, nowoczesną bibliotekę, redakcję czasopism, rozgłośnię, znaczące imprezy artystyczne, środowiska twórcze plastyków, architektów, literatów, kompozytorów, dziennikarzy. Ze powstają tu prace naukowe, książki, obrazy, spektakle. Zielonogórzanie zdobywają laury w zaraniicznych i krajowych konkursach merytorycznych. Ze Zielonogórskie przestało być białą plamą na kulturalnej mapie Polski.

Ruch regionalny wniósł swój olbrzymi wkład w ukazywanie polskości Ziemi Lubuskiej, wydobyl z zapomnienia i utrwalil w świadomości społecznej to, co świadczy o patriotyzmie mieszkańców Babimostu, Starego i Nowego Kramska,

Dąbrówki. Zapoczątkował wydawanie czasopisma „Nadodrże”, popularyzuje dorobek twórców zielonogórskich, kontynuuje powstałe przed laty serie wydawnicze, m.in. „Zeszyty Lubuskie”, „Kalendarz Zielonogórski”, „Lubuskie Arkusze Poetyckie”, „Rocznik Lubuski”, realizuje filmy dokumentalne, prezentuje osiągnięcia kulturalne regionu w kraju i za granicą. Patronuje plastynom amatorom, młodym literatom, popularyzatorom wiedzy o przeszłości Nadodrza. LTK i wszystkie towarzystwa lokalne organizują sesje popularnonaukowe, przyznają nagrody za twórczość, współtworzą imprezy kulturalne, wspierają ważne poczynania wielu innych instytucji kultury, nauki, sztuki. Ten społeczny ruch regionalny tworzą ludzie obdarzeni potrzebą działania nie mieszczącego się w polu ich zainteresowań profesjonalnych.

Ale jest to także ruch społeczny ponoszący klęskę, przeżywający niepowodzenia własne i partnerskich organizacji. Nie wszystko, co LTK uznało za istotne i ważne dla regionu, zostało zrealizowane lub tylko zaakceptowane. Często dlatego, że działaczom społecznym brakowało siły przebicia, że nie wszyscy, którzy kierowali administracją, należycie rozumieli potrzeby społeczne. Ruchowi regionalnemu stawia się zarzut, że zamyka się w kręgu własnych spraw lub zabiera się obojętnością życia publicznego. Wiele władz lokalnych ocenia ten ruch tak, jakby był on jeszcze jedną instytucją upowszechniania kultury i wytycza mu zadania, nie udzielając żadnej pomocy. A przecież jest to ruch od początku do końca społeczny, nie posiadający wielkich budżetów, istniejący nie po to, by zastępować instytucje państwowe, lecz by wraz z tymi instytucjami tworzyć nowe wartości kulturowe, upowszechniać wiedzę, troszczyć się o harmonijny rozwój miast i wsi, nielegnować tradycje i zwyczaje, folklor i język. Ruch ten chce i powinien pełnić funkcje inspiratorskie, doradcze, opiniotwórcze. Prawdą jest, że ruch re-



IRENA LINKIEWICZ

— Chodzi mi tylko o pewien rodzaj znajomości świata...

(Czyt. rozmowę na str. 4)

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

ciąg dalszy na str. 8

Opinie i refleksje

DZIEŃ ONZ

24 października na całym świecie obchodzony jest Dzień Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tego bowiem dnia w 1945 roku złożone zostały dokumenty ratyfikujące przez wszystkie ówczesne państwa członkowskie ONZ Kartę Narodów Zjednoczonych, uchwaloną na historycznym posiedzeniu założycielskim tej organizacji 26 czerwca 1945 r. w gmachu Opery w San Francisco.

Na posiedzeniu tym Polska nie była reprezentowana (gdyż nie został jeszcze powołany Rząd Jedności Narodowej, który byłby uznany przez wszystkie państwa). Polska jednak, która pierwsza stanęła czoła agresji i była — jak to określił w swoim czasie Roosevelt — „sumieniem i natchnieniem walczącego o wolność świata” — została oczywiście uznana za jedno z państw założycielskich ONZ, a pamiętnym i jakże wzruszającym akcentem tej sesji było odegranie przez Artura Rubinsteiną przed wszystkimi jej delegatami Mazurka Dąbrowskiego, co spoiłało się z gorącą owacją całej sali.

Dziś inicjatywy Polski weszły na stałe do annałów Organizacji Narodów Zjednoczonych, jako doniosły wkład na rzecz utrzymania i utrwalenia największego dobra ludzkości — jakim jest pokój światowy. Na obecnej sesji odczytany został specjalny raport sekretarza generalnego ONZ, w którym podkreślono znaczenie noty rządu PRL z 9 lipca br. w sprawie eliminacji broni jądrowej wszelkiego kalibru z kontynentu europejskiego, co stworzy warunki dla znacznego ograniczenia również sił konwencjonalnych obu bloków (NATO i Układu Warszawskiego) stacjonujących w Europie.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w tej ostatniej sprawie — która po porozumieniu Szewardnadze — Schultza — nabrała szczególnej doniosłości, właśnie delegacja polska w Wiedniu wystąpiła z propozycją przystąpienia do natchnionego i ostatecznego zredukowania i uzgodnienia dokumentu końcowego spotkania KBWE w Wiedniu, które koresponduje w pełni z problemami rozbrojenia i porozumienia na obecnej sesji ONZ.

Zarówno w Nowym Jorku, jak i w stoicy Austrii podkreślono niezwykle istotny związek inicjatywy Wojciecha Jaruzelskiego z procesem KBWE, posiadającym obecnie — po zawarciu porozumienia radziecko-amerykańskiego o eliminacji broni średniego zasięgu i operacyjno-taktycznej w Europie — szczególne doniosłe znaczenie. Inicjatywa Wojciecha Jaruzelskiego przypada w roku 30-lecia znanego planu Adama Rapackiego, zgłoszonego właśnie z trybuny ONZ. O tym mówiono też na obecnej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych, kiedy to burzliwymi oklaskami powitano przypomnienie tej inicjatywy przez polskiego ministra spraw zagranicznych Mariana Orzechowskiego. Wielu mówców podkreśliło przełomowy, jak na owe czasy, charakter tego planu.

Dziś, w 30 lat później, rozpoczynając procesy pozytywnej zmiany w świecie, służą plan obecnego polskiego przywódcy, zgłoszony w imieniu naszego narodu z trybuny 41 sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Plan ten wyrasta z narodowych polskich doświadczeń, z tradycji narodu gorzko potraktowanego przez historię. Równocześnie służy on interesom wszystkich narodów i państw Europy. Dotyczy jednego kontynentu, ale sprawę bezpieczeństwa ujmuje w szerokich międzynarodowych wymiarach.

Z uznaniem i nadzieją powitaliśmy osiągnięcia historycznego wstępnego porozumienia pomiędzy ZSRR a USA jako przełomu dotychczasowych rokowań rozbrojeniowych i kroku ku powszechnemu, całkowitemu rozbrojeniu. Napawa otuchą fakt, że porozumienie to osiągnięto zostało właśnie wtedy, gdy ministrowie obu supermocarstw przybyli na obecną sesję Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Świadczy to o tym, iż mimo wszelkich występujących w jej działalności słabości ranga tej organizacji wzrasta i jej głos liczy się coraz bardziej na arenie światowej.

Warto o tym przypomnieć właśnie dziś, gdy ludzkość obchodzi kolejną rocznicę Dnia Organizacji Narodów Zjednoczonych.

MICHAŁ HOROWICZ

POBUDZIĆ MYŚLENIE

W województwie zielonogórskim rozpoczęto kolejny rok szkolenia partyjnego. Uroczysta inauguracja odbyła się 28 września br. w środowisku kolejarzkim, w Zbąszynku — z udziałem sekretarza KC PZPR Henryka Bednarskiego. Jest dobrą, zielonogórską tradycją umieszczanie tego typu imprez w zakładach pracy, które wyróżniły się pracą polityczną, w tym szczególnie w szkoleniu partyjnym.

Szkolenie a szerzej oświata partyjna stanowi corocznie przedmiot wnikliwej oceny ze strony kierownictwa instancji wojewódzkiej PZPR. Nie jest to sprawa przypadku. Jeśli sięgnąć głębiej, do podstaw ruchu partyjnego, był on w swoich początkach w decydującej mierze ruchem edukacyjnym. Funkcję tę partia zachowała, wypełniając ją wobec swoich członków przez system szkolenia, różnorodne formy edukacyjne, lektorat i szkoły partyjne — a wobec społeczeństwa poprzez oświatę, edukację obywatelską, propagandę i informację.

Znaczenie każdej z tych form jest ogromne.

Nie można jednak oczekiwać, że procesy edukacyjne raz zainaugurowane potoczą się swoim torem. Oświata zawsze stanowiła instrument żywy i twórczy. Co roku procesom oświatowym w partii towarzyszą nowe oczekiwania i nowe potrzeby. W roku bieżącym wynikają one z doniosłych decyzji w sprawie wdrożenia drugiego etapu reformy gospodarczej, oczekiwanej restrukturyzacji gospodarki narodowej i jej centrum oraz poważnych zmian w systemie ideologicznego oddziaływania partii. Zadań przybywa. Rzecz w tym, by sprostać tym wymaganiom.

Funkcją szkolenia jest pobudzić myślenie. Potrzebny jest nowy sposób interpretacji wielu zjawisk, nowy sposób politycznego działania, przewyższanie stereotypów i dogmatów. Duża część uczonych i partyjnych teoretyków utożsamia ten proces z nowym myśleniem politycznym. Jest to, jak widać, wielkie

wyzwanie, przed którym stoi partyjna program edukacyjny.

Zasadniczym adresem partyjnej pracy oświatowej jest zakład pracy, ściślej środowisko pracy. Zerwano ostatecznie z praktyką wożenia słuchaczy po województwie i kraju. W środowisku pracy udział w szkoleniu jest formą postawy politycznej, dodajmy — obserwowanej uważnie przez współtowarzyszy i załogę. Tutaj najskuteczniej uzewnętrzniają się podstawowe funkcje dydaktyczne szkolenia: adaptacja do nowych zadań, w-

ty pozaszkolnej, w tym i partyjnego ruchu szkoleniowego.

Inauguracja nowego roku oświaty partyjnej jest początkiem wielkiej pracy edukacyjnej, jaką PZPR podejmuje wspólnie z oświatą szkolną i nauką, ze stowarzyszeniami naukowo-technicznymi oraz wielką sferą oświaty pozaszkolnej, zakładów. Jest to nowe spojrzenie. Po raz pierwszy problemy szkolenia w zakładach pracy postawione zostały kompleksowo. Traktuje się je jako system działań połączonych. Skierowane zostaną w jednym celu: po to, by stworzyć warunki dla powszechnego uczestnictwa pracujących w procesach decyzyjnych.

W sumie nowy rok szkolenia partyjnego składa się z wielu refleksji, nakładających odpowiedzialność na zespoły lektorskie i kadrę organizatorów szkolenia. Sprzyjać temu będą zmiany organizacyjne idące w kierunku większej profesjonalizacji i intelektualizacji komórek szkolenia. Tym samym, zamknięty został etap ekstensywnego rozwoju tej formy pracy partyjnej.

JERZY MENCZYK

zaodra

Porównania

Ostatnio w prasie NRD i zachodniemieckiej dokonywano porównań stylu i poziomu życia, sposobów spędzania wolnego czasu, wysokości zarobków i wydajności pracy w obu państwach niemieckich. Korzystano z różnych danych i prezentowano różne wnioski, zwłaszcza, że nadal nie wiadomo, jakie przeliczniki stosować między walutami obu państw. Niedawno taka analiza porównawcza zamieścił zachodniobermberski „DER TAGESSPIEGEL”. Kilka dni później „NEUES DEUTSCHLAND” opublikował podobny tekst jako korespondencję z Bonn.

Porównuje się spożycie na 1 mieszkańca w obu państwach niemieckich — podstawowych artykułów spożywczych i używek. Z analizy wynika, że NRD zdecydowanie przoduje w konsumpcji ziemniaków, masła i wódki, natomiast RFN ryb, owoców, używek. Konkretnie wygląda to tak: w obu państwach notuje się bardzo wysokie spożycie mięsa i jego przetworów. W NRD 97 kg rocznie na głowę, zaś w RFN 102 kg (Wszystkie dane odnoszą się do 1986 r.). W RFN je się więc mięsa o 5 kg więcej, ale w NRD spożycie mięsa od kilku lat utrzymuje się nadal na niemal tym samym poziomie; wydaje się więc, że popyt jest zaspokojony. W NRD pije się więcej mleka: 107,7 litra, natomiast w RFN tylko 87,7 litrów rocznie na 1 mieszkańca. Również po jajko częściej sięgają mieszkańcy NRD, spożywając rocznie 289 jaj, gdy mieszkańcy RFN spożywają ich rocznie 272. W NRD jada się dwukrotnie więcej ziemniaków niż w RFN. Konkretnie 152,3 kg rocznie, a w RFN 77,9 kg. Podobnie jest z masłem: w NRD jada się go rocznie 15,6 kg na osobę, a w RFN 7,9 kg. Spożycie kurku utrzymuje się na poziomie 40 kg, przy czym nieco więcej spożywa się go w NRD. RFN przoduje natomiast w spożyciu tłuszczów roślinnych — 14 kg rocznie na osobę — w NRD niespełna 10 kg na osobę. Ryb jada się w RFN 13 kg rocznie, w NRD 7,8 kg.

Trzykrotnie więcej jada się w RFN serów twardych — 30 kg, w NRD zaledwie 9 kg rocznie. Niekorzystnie wypada NRD w porównaniach spożycia owoców świeżych i owoców południowych. W 1986 r. statystyczny mieszkaniec NRD spożył 32 kg owoców, a mieszkaniec RFN 77,7 kg. Owoce południowych spożył mieszkaniec NRD 16,2 kg, zaś RFN 29,6. W rzeczywistości rozpiętość jest jeszcze większa, jako że w NRD w spożyciu owoców południowych uwzględnia się także soki owocowe oraz orzeszki.

Mieszkańcy RFN pałą zdecydowanie więcej papierosów, piją więcej kawy prawdziwej, herbaty. Statystyczny mieszkaniec RFN pije rocznie 24,1 l. wina i szampana — mieszkaniec NRD 10,9 litra. Piwa pije się dużo i w obu państwach mniej więcej tyle samo — około 145 l. na głowę rocznie. Statystyczny mieszkaniec NRD wypija rocznie 15,4 litra wódki, czy winiaku, głów nie miejscowej produkcji, mieszkaniec RFN 6,3 l. wódek czy brandy, bądź whisky. W analizach obu źródeł podkreśla się, że w NRD pije się za dużo na polów wysokoprocentowych, określając za fachowym czasopiśmie „DEINE GESUNDHEIT” (Twoje zdrowie) sytuację jako alarmującą.

W analizie zachodniej wyciąga się wnioski przede wszystkim z porównania zaopatrzenia sklepów w obu państwach niemieckich. Wydaje się, że jest to duże uproszczenie sprawy. Podstawowe różnice wynikają bowiem z odmiennego sposobu życia, organizacji dnia, miejsca spożywania posiłków. Pomija się fakt, że zdecydowana większość mieszkańców NRD jada obiady w miejscu pracy czy nauki. A posiłek składa się z mięsa, dużej porcji ziemniaków i wa-

rzyż konserwowych. Jest tak cztery razy w tygodniu, gdyż jeden raz w tygodniu stołówek wydają tylko żupę. Jest to albo „nitop” czyli grochówka z kładką mięsa, albo rosół. Stąd też spożycie ziemniaków w tych warunkach jest i będzie wysokie. To samo do tych tłuszczów zwierzęcych. Jajdospis nie jest zbyt urozmaicony. Praktycznie nie ma wyboru, bo w ciastach kukułkastu minut po otwarciu stołówek dnia tzw. dietetyczne kończą się i zostaje jedna potrawa dla wszystkich. (x)

Poszukiwanie partnerów

„Pieszczoty”, „seks”, „erotyka”, „piękne chwile we dwoje” — to coraz częściej spotykane cele nawiązania znajomości za pośrednictwem drobnych ogłoszeń w prasie NRD. Jeszcze do niedawna treść tych ogłoszeń była typowa dla stereotypowego obrazu mieszkańca NRD: rzeczowa, konkretna, społeczna akceptacja i pełna. Można było się dowiedzieć z ogłoszenia, że np. pani lat 36, o miłej powierzchowności, pracowita, gospodarna, oszczędna, światopogląd — marksistowsko-leninowski, pozna pana o podobnym światopoglądzie.

Dziś ogłoszenia są bardziej konkretne. Zwiększa celują w tym przedstawicielki płci nadobnej. Np. „Kotka — piękna, poszukuje kochanka na wspólne wakacje, a potem zobaczyni...”. Naturalnie „kochanka” nie chce się kupować w worku. W ogłoszeniu jest więc haczyk: prosba o zdjęcie w „pełnej krasie”. Choć oczywiście o zdjęcie nie pozostawiają wątpliwości co do zalet ciała poszukiwanego partnera, jednym słowem fotografię „bez osłonek”.

Oczywiście, część młodych par chcących uchodzić za nowoczesne i ciekawe różnorodnych doświadczeń, nie po prostu na igrzyskach we dwoje. Oto nie trzeba długo szukać, by w anonasach znaleźć, że „małżeństwo poszukuje tolerancyjnej pary dla wspólnych, pięknych i niezwykłych przeżyć”. Inna para zaprasza, by wspólnie rozwiązać równanie, że 2 razy 2 to więcej niż cztery, że 2x2 to zwłaszcza o wiele więcej okazji do niekonwencjonalnych przeżyć „figurowych”.

Ogłoszenia te trafiają nie tylko na łamy prasy centralnej. Również w prasie lokalnej można trafić na ogłoszenie o treści niemal frywolnej: „Im dłuższy tym lepszy” — pod takim anonsem dwie — zachwycony seksem — młode panie pod trzydziestkę poszukują dwóch bardzo aktywnych seksualnie panów... I odwrotnie — są ogłoszenia od „głodnych seksu” panów, poszukujących spragnionych pieszczot panienek.

Swoboda cechująca te ogłoszenia idzie w NRD jeszcze dalej. Pojawiają się tak że ogłoszenia dla homoseksualistów. Np. „Wochenpost” zamieszcza niemal ogłoszeń o treści mniej więcej takiej: „Młody mężczyzna szuka młodego przyjaciela, wiek 20—35 lat, by wspólnie kochać się i marzyć”. W innym młodym człowieku szuka także przyjaciela, by chciał z nim pójść przez życie.

Wydawało by się, że obecnie w dobie strachu przed chorobą AIDS ogłoszenia takowe powinny zniknąć. Ale zażalenie to jest fałszywe. Wg opinii znawców przedmiotu, ogłoszenia takie umożliwiają zawieranie związków między homoseksualistami na dłuższy czas, co pozwala uniknąć kontaktów przypadkowych, a tym samym zmniejsza niebezpieczeństwo zarażenia się. (x)

Nowy rabin gminy żydowskiej

We wrześniu, w przeddzień żydowskiego święta noworocznego, w synagodze przy Rykerstrasse w berlińskiej dzielnicy Prenzlauer Berg odbyło się uroczyste objęcie przez Isaaca Neumanna urzędu rabina gminy żydowskiej w NRD. Po 20 latach wakatu na tym urzędzie. Będzie on sprawował opiekę nad berlińską i siedmioma innymi gminami żydowskimi na terenie NRD.

Isaac Neumann pochodzi z Polski. W czasie II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej w Polsce został zabrany do obozu zagłady w Oświęcimiu, a na-

Z REGIONU

runków pracy, zadań organizacyjnych i to zarówno w wymiarze zawodowym jak i politycznym. Nie bez znaczenia jest zwiększenie integracji kolektywów pracowniczych i ich spójności zawodowej. W tym sensie preferowane będą te formy oświatowe, które skierowane są do klasy robotniczej. Środowisko to powinno stawać się głównym terenem oświa-

stępnie obozu koncentracyjnego Ebensee, który wyzwolił Amerykanie. W 1950 r. wyemigrował do USA. Był przez wiele lat rabinem gmin żydowskich w stanie Illinois.

Gmina żydowska w stolicy NRD liczy 200 osób. (x)

załaba

„Dzień Antywojenny”

Na terenie całej Republiki Federalnej odbyły się 1 września br. w tradycyjnym „dniu antywojennym”, liczne imprezy — demonstracje, zebrania, dyskusje, zbiorowe modły — zorganizowane wspólnie przez PGB, ruch pokoju, komunistów, socjaldemokratów i chrześcijan, pod hasłami domagającymi się rozbrojenia, zapewnienia bezpieczeństwa na świecie, gwarancji, że już nigdy nie będzie wojny. Podczas manifestacji i wieców żądano również likwidacji bezrobocia i zaprzestania redukcji świadczeń socjalnych. Pod wieloma pomnikami ofiar fałszywej i wojny złożono kwiaty i wien-

ce. W ramach imprez antywojennych 1 września rozpoczął się we Flensburgu „marsz pokojowy im. Olofa Palmego” na rzecz korytarza bezaatomowego w Europie Środkowej. Etapami marszu, w którym uczestniczyli obywatele RFN, NRD, Czechosłowacji, a także Szwecji, Austrii, Związku Radzieckiego i Japonii, było przeszło 60 miast. (x)

Obcokrajowcy

w Bundeswehrze?

Rząd federalny rozważa obecnie możliwość służby wojskowej obcokrajowców na zasadzie dobrowolności. Ekspert z czterech ministerstw opracowuje projekty dokumentów prawnych. Wiadomo, że potwierdził rzecznik rządu Gerhard Schmülling. W ten sposób rząd RFN chciałby zrehabilitować niedostatek liczebny poborowych, aby utrzymać dotychczasowy stan osobowy Bundeswehry.

Badania przeprowadzone w RFN w 1982 r., jeszcze za rządów koalicji socjalliberalnej, wykazały, że 20.000 żyjących w Republice Federalnej obcokrajowców jest zdolnych do służby wojskowej. Z inicjatywą przeprowadzenia nowych badań wystąpił minister Wolfgang Schauble, szef Federalnego Urzędu do Spraw Kancelarskich, dla zbadania „możliwości uzupełnienia naboru poborowych, który będzie mniejszy w latach dziewięćdziesiątych”.

Rząd uważa, że problemy prawne będą można pokonać. Z krajami, których obywatele mieliby pełnić służbę w Bundeswehrze, trzeba by było zawrzeć porozumienie „na zasadzie wzajemności”. Schmülling powiedział, że ci, którzy wzięliby na siebie obowiązki, musieliby jednak również uzyskać prawa. Tym samym nawiązał do toczących się obecnie zaciekłych sporów w Republice Federalnej wokół projektu przyznania cudzoziemcom prawa udziału w wyborach komunalnych. Federalny minister spraw wewnętrznych Friedrich Zimmermann uznał, że projekt koalicji SPD-FDP Hamburga przyznania prawa wyborczego obcokrajowcom jest sprzeczny z konstytucją. (x)

Brunatna zaraza

W wielu szkołach Berlina Zachodniego rozpowszechniane są materiały propagandowe prawniczych organizacji, jawnie nawiązujących do tradycji faszystów. Władze szkolne na liczne protesty społeczne niezmienne odpowiadają, że nie ma takiego problemu, lecz są to tylko drobne, marginalne incydenty. Jak jest naprawdę, pokazała na początku roku szkolnego wystawa urządzona przez dzielnicowy komitet rodzicielski szkoły w jednej z zachodniobermberskich dzielnic — Charlottenburg. Członkowie

komitetu przy pomocy uczniów wykonał w pięciu szkołach fotografie i zebrali rozdane tam wśród uczniów ulotki. Pion tej akcji, to publiczna wystawa „Brunatna zaraza”. Zdjęcia wykonane w szkołach prezentują malowidła na ścianach, słupach i w piwnicach, od symboli hitlerowskich z osławionym „Hakenkreuzem” na ciele, do napisów „Precz z cudzoziemcami” i hasel antysemitycznych. Jak pogodzić udokumentowany fakt pozostawienia tych malunków przez miesiąc z podobno typowym niemieckim zamilowaniem do porządku i czystości? Na wystawie zestawiono również kolportowane w szkole ulotki z autentycznymi plakatami hitlerowskimi. Podobieństwo w formie i treści jest uderzające. Wystawa otwarcie atakuje nie dostatek nauczania historii w szkole. Jest to na pewno jedna z przyczyn opisywanego stanu rzeczy. Jawne tolerowanie, jeżeli nawet nie ciche popieranie skrajnie prawicowych organizacji przez władze miejskie Zachodniego Berlina, z pewnością nie służy wyciąganiu przez młodzież właściwych wniosków z historii. Zapewnianie uczestnikom neofaszystowskich imprez ochrony politycznej przed protestami sił antyfaszystowskich, budzi wśród młodzieży przekonanie o popieraniu przez władze idei głoszonej przez te siły. (tema)

„Partia Demokratów Cudzoziemskich i Niemieckich”

w Hamburgu

W połowie sierpnia br. w Hamburgu powstała nowa partia polityczna: Partia Demokratów Cudzoziemskich i Niemieckich — (Partei Ausländischer und Deutscher Demokraten — PADD), która stawia sobie za cel głównie obronę interesów obcokrajowców. Przewodniczącą nowej partii jest irańska pisarka Toran Daneshfar-Peatzold, do zarządu na leżą również Niemcy, Walter Roemer i Wolf Gevert. Partia zamierza od roku 1988 uczestniczyć w wyborach w Hamburgu. Domaga się ona prawa wyborczego dla „wszystkich imigrantów” po pięciu latach pobytu w Republice Federalnej. (x)

Nie zapominajcie o prenumeracie!

Każdy nowy numer „Nadodrza” szybko znika z kiosków. Jedyną formą zapewnienia go sobie na stałe jest prenumerata.

Prenumerata dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy zlokalizowanych w miastach, gdzie znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” należy zamawiać w tych oddziałach. Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane na terenach wiejskich i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „PKR”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Indywidualni prenumeratorzy zamieścili na wsi opłacając prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratorzy zamieszkali w miastach mogą zaprenumerować na szpe pismo wpłacając pieniądze na konto PUPIK „Ruch” w urzędach pocztowych lub też za pośrednictwem instytucji i zakładów pracy, w których są zatrudnieni, za zgodą zakładu, na warunkach wewnętrznych rozliczenia.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na miesiąc styczeń, na I kwartał i I półrocze roku następnego oraz na cały rok następnego; do dnia 1 każdego miesiąca, po przedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Ceny prenumeraty „Nadodrza”: kwartalnie — 130 zł, półrocznie — 260 zł, rocznie 520 zł.



MAGIA SKRZYPIEC

Z Konstantym Andrzejem Kulką rozmawia Halina Ańska

— „Kulka Konstanty Andrzej, urodzony w 1947 roku, laureat I nagrody w Międzynarodowym Konkursie Radio w Monachium w roku 1966. Koncertuje w wielu krajach świata jako solista i kameralista... Notkę w Encyklopedii Powszechnej PWN uzupełnia Pańska fotografia, moim zdaniem najlepsza. W rzeczywistości jest Pan ładniejszy i sympatyczniejszy.

— Dziękuję.

— Rozmawialiśmy przed laty w Kielcach, gdy krótko po swym sukcesie w Monachium, występował Pan z kielecką Państwową Orkiestrą Symfoniczną — jeszcze wówczas nie było filharmonii — pod dyktando Karola Anibala. Wywiad ze zdjęciem ukazał się na pierwszej stronie „Słowa Ludu”, w stałej rubryce „Przed koncertem”.

— Tak, przypominam sobie pania...

— A ja doskonale pamiętam, jak wszyscy zachowywali się Panem. Myślę, że zadałem Panu wtedy pytanie, które dziś powtórzę: czy był Pan cudownym dzieckiem?

— Nie. Podczas przeglądu w szkole muzycznej I stopnia, otrzymałem siódmą lokatę w drugiej dziesiątce. W szkole II stopnia już było trochę lepiej, bo zmieściłem się w pierwszej dziesiątce. Byłem więc dzieckiem zdolnym, lecz nie wybijającym się.

— Jak wspomina Pan swoich nauczycieli?

— Wdzięcznie i serdecznie myślę o dwóch: prof. Gbioreczku, który uczył mnie w szkole podstawowej i prof. Stefanie Hermanie, pod którego kierunkiem kształciłem się w szkołach średniej i wyższej. Obydwaj moi znakomici pedagogowie już nie żyją, niestety.

— Jest Pan gdańszczaninem?

— Z urodzenia tak, ale od 15 lat warszawiakiem.

— Jak żyje artysta o światowej sławie?

— Nerwowo.

— Więc sława szczęścia nie daje?

— Owszem, daje. Ale też niesie ze sobą szalone napięcia i niesłychane poczucie odpowiedzialności. Wszystko to jest wyczerpujące.

— Jest Pan nerwowym?

— Czyżbym na takiego wyglądał? Nie, proszę pani, z natury jestem spokojny. Co nie umniejsza „nerwowości” związanej z moim zawodem.

— Gdzie koncertował Pan dotychczas?

— We wszystkich krajach Europy i Ameryki Południowej, w Stanach Zjednoczonych, Australii, Japonii. W niektórych spośród tych krajów grałem

parokrotnie. W marcu przyszłego roku wybieram się po raz pierwszy do Chin, z orkiestrą Filharmonii Narodowej.

— Współpracuje Pan ze sławnymi dyrygentami, co Pan o nich powie?

— Jedni prowadzą orkiestrę w sposób towarzyszący i podporządkowany

solście, inni próbują forswać własną koncepcję utworu i z tymi gra się trudniej. Z dyrygentów polskich najczęściej współpracowałem z Rowickim i Kordem.

— Miewa Pan też recitale...

— Gdyby ująć w procentach, to stanowią one pięć procent mojej działalności, natomiast 95 procent, to występy z towarzyszeniem orkiestr.

— Giamini, Bach, Paganini, Chaczaturian, Bacewiczówna — tych twórców zaprezentował Pan w Zielonej Górze. A czy są utwory, które Pan gra przede wszystkim?

— Gram wszystko, co zostało napisane na skrzypce.

Ciąg dalszy na str. 6



Fot. CZESŁAW ŁUNIEWICZ



„ART-STILON”

Dopiero w szóstym roku istnienia administracji wojewódzkiej Gorzów do czekał się własnego Biura Wystaw Artystycznych. Po ośmiu latach działalności BWA mówi się, nie tylko w Gorzowie, że jest to wzorowa instytucja upowszechniania plastyki, dobrze służąca mieszkańcom miasta, jak i pracownikom „Stilonu”. BWA powstało w pomieszczeniach Muzeum Zakładowego „Stilonu” i jest nielicznym w naszym kraju przykładem, że fabryka może być mecenasem kultury. Nim jednak powstało BWA, „Stilon” nie skąpił pieniędzy na działalność kulturalną swojej załogi i środowisk artystycznych Gorzowa. Fundował nagrody i stypendia,łożył na utrzymanie zakładowych placówek kultury, zabiegał o kontakty z artystami. Efektem tamtych wysiłków są między innymi obecne sukcesy Biura Wystaw Artystycznych. W BWA „Art-Stilon” wystawiali swoje prace najznakomitsi polscy plastycy, wśród nich Magdalena Abakanowicz i Władysław Hasior. Efektem wcześniejszych poczynań „Stilonu” jest także plener tkacki, w tym roku organizowany już po raz dziesiąty, w ośrodku wypoczynkowym załogi tego zakładu w Lubniewicach.

Przed dziesięć laty inicjator wielu poczynań Plastycznych w Gorzowie artysta plastyk Mieczysław Rzeszewski wpadł na pomysł, by w oparciu o włókno syntetyczne wytwarzać w „Stilonie” tworzyć tkaniny artystyczne. Wiek szkół polskich artystów tkaczy swoje gobeliny tkala z włókien naturalnych. Czy włókno syntetyczne, z którego powstaje w „Stilonie” taśma, folia, a także przędza, jest dobrym surowcem do tkaniny gabelin, nie wiedział M. Rzeszewski. Ale gdy swoim pomysłem podzielił się z Romaną Szymańską-Pięskowską, znakomitą artystką z Krakowa, mistrzynią tkactwa zgodziła się wypróbować kaprolaktan w procesie tworczym. W 1977 roku odbył się pierwszy plener tkacki, nazwany przez Ryszarda Kwiecińskiego „Art-Stilonem”. Gospodarzem spotkania artystów tkaczy było Muzeum Okręgowe i „Stilon”, a od powstania BWA, ono właśnie przejęło funkcje organizatorskie. „Nie będzie przesadą twierdzenie, że spotykają się tu najwybitniejsi przedstawiciele polskiej szkoły tkackiej.

— pisze w katalogu do wystawy poplenerowej J. Gąsiorek, dyrektor BWA — nazwiska powszechnie znane i nowe — dobrze zapowiadające się. Chętnych

jest wciąż więcej niż przewiduje lista”.

Od trzech lat plener gorzowski-lubniewicki odbywa się pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki, a powstałe prace ocenia jury. Najlepsze tkaniny trafiają do gorzowskiego Muzeum Okręgowego i BWA, są prezentowane w całym kraju, ponadto za granicą, m.in. w Londynie, Budapeszcie, Bratysławie, Nitrze, Skopje, Frankfurt nad Odrą. W dotychczasowych dwunastu plenerach wzięło udział 58 artystów, a Romana Szymańska-Pięskowska (Kraków), Kazimiera Frymark-Błaszczak (Łódź), Krystyna Mieszkowska-Dalecka (Warszawa) i Henryka Zaremba (Gorzów) nie opuściły ani jednego spotkania w Lubniewicach. Warto jeszcze dodać, że każdego roku z okazji Dnia Chemika BWA organizuje wystawy plastyczne z udziałem najznakomitszych polskich tkaczy. Dotąd w salonie BWA pokazano 510 tkanin 191 artystów, reprezentujących przede wszystkim środowiska gdańskie, łódzkie, warszawskie i wrocławskie. Cytowany już J. Gąsiorek pisze: „Poliamid został na trwałe włączony do działań artystycznych. Włókno syntetyczne, tańsze i bardziej dostępne, zostało zaakceptowane i sprawdzone. Tym samym tkaniny artystyczne w realizacji: cena — potencjalny nabywca stają się bardziej realne i osiągalne.”

Dziesiąte lubniewickie spotkanie artystów tkaczy poprzedziła prezentacja tego, co przed rokiem powstało w ośrodku „Stilonu”. Na wystawie zorga nizowanej w dużej sali gorzowskiego BWA swoje prace pokazało 40 artystów. Są to tkaniny w przeważającej mierze wykonane ze sztucznego włókna, najczęściej płaskie, choć i nie brakuje form przestrzennych. Pierwszą nagrodę jury przyznało Kazimierzowi Frymark-Błaszczakowi za pracę pt. „Wizja”. Drugą zdobyła gorzowianka Henryka Zaremba za „Zimę”, wykonaną w tonach białych przechodzących w brązowe. Inna gorzowianka, Henryka Zbik-Nierubiec, prezentuje gobelin wykonany techniką mieszcząca pt. „W oczekiwaniu”. Pośród wystawiających znajduje się Agata Buchalik-Drzyzga z Zielonej Góry, a jej praca pt. „Zwykły”, utkana z włókien czerwonych, białych i zielonych, jest tak samo ciekawa, jak dzieła innych mistrzów.

W małych salach BWA swój artystyczny dorobek pokazują cztery artystki tkackie: Kazimiera Frymark-Błaszczak, Krystyna Mieszkowska-Dalecka, Romana Szymańska-Pięskowska i Henryka Zaremba. To dopiero widok niezwyklej gobelinu jako tkaniny unikatowej. Ta część olbrzymiej ekspozycji dowodzi, że włókno sztuczne wcale nie jest gorsze jako materiał tkacki od włókna naturalnego.

Plener w Lubniewicach trwa tylko dwa tygodnie, pozostałą część roku artyści tkacze spędzają w swoich pracowniach. Dyrektorowi J. Gąsiorkowi marzy się, by w „Stilonie” istniała stała pracownia eksperymentalna, czynna przez cały rok i dostępna dla wszystkich zainteresowanych tkaniami gobelinów.

ALFRED SIATECKI



Daleko do kresu

Nie żyje ten, kto ogląda obrazy. I ten, który je ze smakiem. I pijany. I ten, który leci. I ten, który spókuje. I ten, który, spi. Żyje tylko ten, który się boi, który ucieka, który czeka

T. RÓŻEWICZ — ZŁOWIONY

Na karcie tytułowej programu do gorzowskiego przedstawienia znalazło się zdanie: „Pułapka” Tadeusza Różewicza napisana w 1982 r. jest rzeczą o Franzu Kafce. Wprawdzie Różewicz na końcu tekstu postawił datę 1981, ale nie warto kruszyć kopii, czy ważniejsza jest data napisania, czy opublikowania (właśnie 1982). Istotniejsza jest druga część zdania, Różewicz nie nadał swoim bohaterom nazwisk, nie podał nawet inicjałów,

choć pozostawił prawdziwe imiona. W tekście tylko raz pada słowo „Kafka” i w rymowance „Kafka-szafka”, co może być rozumiane jako element zabawy. Różewicz wykorzystał pewne fakty z życia pisarza Franza Kafki, ale nie napisał sztuki o nim. Albo lepiej — napisał sztukę nie tylko o nim. To rzecz o człowieku uwikłanym. Jedno z tych uwikłań Franz nazywa jednoznacznie: „Jestem pułapką, moje ciało jest pułapką, w którą upadłem po urodzeniu”. Są i inne: rodzina, kobieta, narodowość, historia, jeśli twórca — to jego dzieło, jego wizja. Jest to również w jakiejś mierze sztuka o tych, którzy przeżyli tu jeszcze tylko wyobrażone

zagrożenie. Tak jak Różewicz. Bo „Pułapka” to rzecz także o Różewiczu.

Przedziwny jest tekst „Pułapki”. Autor bardzo rozbudował didaskalia, precyzyjnie określił wszystkie przedmioty, rekwizyty, nawet fason sukienek i gatunek materiału, z którego zostały uszyte. Natomiast funkcję tak ważnych postaci jak Oprawcy tylko sygnalizuje: „Mają prawo wkraczać na scenę w każdej chwili. Mogą przechodzić w milczeniu, ale mogą też zatrzymać się przed wybranymi osobami. Działania Oprawców są nieprzewidywalne”. Precyzyjny w szczegółach autor, obecność Oprawców pozostawia inwencji reżysera.

W „Pułapce” pierwszy plan, podstawowe uwikłanie człowieka, zostało nazwane i nakreślone ostro. Inne płaszczyzny szkieletowe są mniej lub bardziej dokładnie. Twórcy scenicznej realizacji mają prawo skorzystać z tych propozycji, lub je całkowicie pominąć. Od ich inwencji zależać będzie głębia problemów. Różewicz dał partyturę. Wykonanie koncertu pozostawił innym.

Na podstawie tekstu samego Tadeusza Różewicza, Jerzy Grzegorzewski czy Krzysztof Babiński — że wymienię najbardziej znane realizacje — stworzyli diametralnie różne przedstawienia. Janusz Kozłowski w Teatrze im. J. Osterwy w Gorzowie pokazał — zgodnie z intencją autora — przede wszystkim człowieka uwikłanego w swoje ciało, w biologię, człowieka w relacjach do domu rodzinnego i rodziny, którą powinien zbudować. Jest tu więcej mieszczańskiej dramy niż skomplikowanych relacji narodowych czy historycznych. Bo na przykład dla Franza fakt jego żydowskiego pochodzenia jest ważny, mimo iż środowisko to opuścił. Żydowski kompleks winy tkwi immanentnie we wszystkich działaniach Franza, będzie później przyczyną jego klęski, będzie losem całego narodu. Tymczasem żydowskość ojca zaznaczona została tylko melodią zdań w finałowym monologu. Powierzchniowo to przejaw. Odrzucono tak wyrazisty i często przez autora nakazywany symbol żydowskiej gwiazdy. Bez żydowskiego akcentu źle się tłumaczy scena u fryzjera, a alegoryczne zabójstwo dziecka przez ojca nie ma odniesień.



Scena zbiorowa z „Pułapki” T. Różewicza

Fot. JERZY SZALBIERZ

Ciąg dalszy na str. 6



Trwała obecność

Czesław Łuniewicz fotografuje od polowy lat pięćdziesiątych, w wystawach bierze udział dopiero od roku 1960, wielokrotnie zdobywając medale i nagrody. Jego prace były prezentowane w kraju i za granicą, znajdują się w zbiorach muzealnych i prywatnych, zdobią albumy, czasopisma i katalogi. Artysta bowiem należy do tych twórców, którzy nie stronią od życia społecznego. Od lat z aparatem fotograficznym towarzyszy prawie wszystkim wydarzeniom kulturalnym i politycznym Ziemi Lubuskiej, gromadzi fotograficzną kronikę życia na środkowym Nadodrzu, kształci swoich następców. Jego dotychczasowy dorobek twórczy Muzeum Ziemi Lubuskiej zaprezentowało na wystawie retrospektywnej. Wśród pokazanych prac są przede wszystkim te, za które Cz. Łuniewicz otrzymywał nagrody, ale są także zdjęcia jeszcze nigdzie nie prezentowane. Są fragmenty ekspozycji dobrze znanych w Zielonej Górze, Gorzowie, Żarach, Zaganianiu, Frankfurt nad Odrą, Chociebusu oraz prace powstałe niedawno.

Wystawę otwierają zdjęcia stanowiące fragmenty większych reportaży, publikowane głównie na łamach „Nadod-

rza”. Mamy więc tu fotograficzny zapis zmian, jakie zaszły w architekturze i krajobrazie Zielonej Góry i innych miejscowości regionu. Obok zatrzymane w kadrze uroczyste zakątki Łagowa, Ślavy, lasów lubuskich. Ludzie przy pracy, uchwytni niebanalnie. I te same zdjęcia reportażowe wykonane inną techniką, z kółkami włóczni. Jest też piękny zbiór portretów starych ludzi. I znowu mało znane zakątki Zielonej Góry. Fotografia nie realizuje, wzbogaca osobowością Cz. Łuniewicza. Artysta ma swój osobisty stosunek i sąd o otaczającym go świecie.

W połowie lat sześćdziesiątych Cz. Łuniewicz zaczął prezentować swoje akty; pierwsze pojawiły się na łamach „Nadodrza”, wzbudzając znaczne zainteresowanie czytelników. Na wystawie po kazało kilka zdjęć pięknych kobiet z tamtych lat. Są prace realistyczne i ukazujące zatrzymane w kadrze baletko biecego ciała. Efekty te uzyskał artysta ogromnym nakładem pracy, m.in. nakładając pozytywy i negatywy, posługując się tuszem na negatywach. Używanie tych efektów było możliwe dzięki wysokiej kulturze osobistej i ogromnej wiedzy. Szczególnym przykładem mistrzostwa Cz. Łuniewicza jest „Ontogeneza”, ekspozycja, jak mówił artysta, ukazująca niezmiernie bogactwo kobiety. Powstało więc całe studium graficzne: światłocien, czerń bardzo czarna, biel najbielsza z bieli, ostry rysunek ruchu tanecznego, czysta linia graficzna.

Na tę wystawę składają się fragmenty wielu poprzednich wystaw Cz. Łuniewicza, m.in. „Aktu”, „Przemijania”, „Ontogenezy”, „Gwizdały”, „30 lat mojego miasta”. Aż się wierz nie chce, że w ciągu niespełna 30 lat pracy twórczej Czesław Łuniewicz wykonał aż tyle. A przecież fotografia artystyczna jest tylko jednym z jego żywiołów. Prócz tego ciągle jest fotoreporterem, dokumentalistą, wychowawcą, działaczem Związku Polskich Artystów Fotografików, mężem i ojcem, współpracownikiem naszego pisma.

(AS)

— W „Uwerturze do życia”, być może twoim najlepszym reportażem, wcieliłaś się w osiemnastoletnią dziewczynę. Na czym to polegało?

— Dotknięcie pierwszego śladu jest zawsze aktem twórczym, oświeceniem jednostkowym i niepowtarzalnym — tak było z Asią, dziewczyną, która po jakimś rutynowym spotkaniu ze mną, z tzw. ciekawym człowiekiem, przyszła i powiedziała, że chce zrobić reportaż o ptakach zabijanych w pewnym mieście. Pojawili się dwie sprawy: dziewczyna i temat.

To zabrzmiało trochę nieprawdopodobnie, ale natychmiast zrozumiałam, że ta dziewczyna w zderzeniu z tematem przeżyje to, co ja miałam już za sobą... ot, po prostu dojrzewanie. Liczyłam na to, że ona po raz pierwszy zetknie się z bezdusznymi, niewrażliwymi, czy urzędniczym traktowaniem delikatnej tkanki dziewczęcej egzaltacji — i to wszystko w stanie powstawania, niemal „słownikowego” rodzenia się, przy najmniej dla jej doświadczenia. Pojawili się pomysły formalnego zrobienia reportażu o reportażu, czegoś w rodzaju meta-reportażu.

Skończyło się na tym, że dałam dziewczynie mikrofon i z jej płeców pozwalalam na zadawanie pytań, które w moich ustach brzmiałyby banalnie, np.: „Kiedy jest odpowiednia pora na zabijanie?”, czy „Wiem, że w godzinach porannych moralność ludzka śpi?”. No, a poza tym ten rodzaj egzaltacji w głosie, ta melodia — czyli cała, jak ją nazywają poeci, euforia. I jeszcze ten rodzaj przeżycia, które ja miałam w sobie, ale tak wyartykułować nie potrafiłabym.

— Wybac, ale nie wierzę w taką psychiczną i psychologiczną dyscyplinę reportera. Podejrzewam, że oddanie mikrofonu egzaltowanej Asce poddykowane było bezduszną wiarą w piorunujący efekt jej drżącego głosu, niewinności itp.

— Była to wiara w to, o co razem walczyliśmy.

— A o co walczyliście: o prawdę reportażu, czy o prawdę życiową?

— Bez wątpienia o to drugie. Zresztą spędziłyśmy razem sporo czasu, w tym był intymny spacer, podczas którego Aska grzebała martwe ptaki.

— I ty to nagrywałaś?

— Oczywiście...

— Cóż, moje wątpliwości rodzą się z tego, że pamiętam, jak zamknięta w celi z siedemnastoletnim chłopakiem, który zabił swojego kolegę, w pewnym momencie załamalaś głos i ja, słuchacz, odniosłem wrażenie, że reporter powoli staje się psychiczną ofiarą rozmówcy.

— Jaką ofiarą? Przecież to ja zadałam mu pytanie: „Skoro uważasz, że wszystko jest materią, czy mógłbyś mnie zabić?” Wtedy jego oczy zrobiły się jakiegoś takiego niebieskiego koloru. „Gdybym tylko mógł — tak...”

— Wierzyłaś w to?

— Tak. Oczywiście w sensie absolutnie subiektywnym, bo obok siedział bezwzględnie realny strażnik. Ale zrozumiałam, czym, lub kim jest człowiek, który przekroczył pewną granicę.

— Jednak dałaś mordercy szansę wyartykułowania tych wszystkich, swoich „prawd”. Czy nie chodziło znowu tylko o piorunujący temat?

— Dałam mu jeszcze jedną szansę, ludzką szansę okazania skruchy.

— Ale reportaż miał tytuł „Trzeba było zabić”.

— Tytuł mówi sam za siebie. Sądzę, że ten chłopak był po prostu chory. Nie był to Raskolnikow. Niestety — dla moich reportażów, a dla życia tym bardziej — szkoda, że przeczytałem przez mnie komplikacje moralne, ontologiczne nawet, by wają najzwyklejszymi dewiacjami. A po za wszystkim: prawdą reportażu, prawdą życia itd., szkoda, że ten chłopak zabił... Bo to nie jest tak: ludzie zabijają, a dla mnie będą tematy.

— A więc są granice, których dla tematu nie przekroczyłeś?

— Nigdy.

— Jak to granice?

— Wiem, o co ci chodzi. Dotarła do mnie ta anegdota, że nawet leżąc w trumnie wystawie mikrofon. Mój Boże! Dlatego, że często rozmawiam z ludźmi, którzy przekroczyli wszystkie granice, uczyć się pełnej świadomości własnych granic. A prawda jest taka, że ta granica kończy się i zaczyna na ulicy Morelowej, gdzie mieszkam. Tam nikt o mikrofonem nie wpuszcza.

— Bronisz swojej prywatności? A przecież ty sama grzebiez w ludzkich brudach. Ludzkie brudy to twój chleb.

— Być może to dla ciebie są brudy. Wiem również, że nazywają mnie „prokuratorem ludzkich sumień”. Mistrzem takiej nomenklatury jest np. Witold Szlaski, który swoją drogą też trochę ludzkich brudów wyprał i nie wiem, czy skutecznie. A ja zrobiłam kilka — myślę — niezłych reportażów, które być może komuś dały do myślenia.

— A ciebie doprowadziły do nerwicy, samokontroli i życia na tzw. widelu, pod ciągłą obserwacją. I dlatego teraz powiniem zapytać o szczegóły twojego życia prywatnego.

— Po pierwsze: żadna nerwica, lekka samokontrola, żadnych widelców, jeśli już — to noże. Po drugie: w stosunku do siebie zawsze powinien obowiązywać relatywizm. Prywatnie staram się nie być łowczynią tematów. Ba! Usiłuję za pominiąć o tym, że jestem reporterem, ale jest to niemożliwe.

— Czy ktoś wyrzucił cię z domu?

— Z domu nigdy. Ale często bywałam w sytuacjach niewygodnych dla moich

rozmówców. Np. właściciel piwiarni z reportażu „Grać nawet w niebie”, wyrzucał mnie i mojego bohatera, dorobił wspaniałą pointę do reportażu. Dopiero po tym wyrzuceniu nas, bohater mógł powiedzieć: „I sama pani widzi? Cóż mi pozostało z moją harmonijką i moją muzyką? Pozostaje mi już tylko grać w niebie”.

Jednym słowem: i wyrzucenie, i agresja mogą się na coś przydać, bo należy wykorzystywać wszystko, co ja, reporter, uznaję za ważne dla uogólnienia incydentalności pojedynczego reportażu. Zresztą w kłopotliwych sytuacjach zawsze odpowiadam: „Ja świetnie montuję”. Mont-

bardzo ambitne. Zrobimy więc wolę, którą ty często stosujesz w swoich rozmowach. A więc: która godzina?

— Dwudziesta dziesiąta. W telewizorze jakiś facet powiedział: „Mówiłem ci, że jestem najlepszy”. Powiedział to po angielsku, zabijając tzw. czarny charakter.

— Dobrze. Zabrzmiało jak w niezłym reportażu, coś jakby „mięso”. Jak to jest z tym „mięsem reportażu”?

— Z mięsem to jest tak: albo po nim chodzą robaki, albo nie. Niewiele mnie interesują szkoły i formuły, choć mam świadomość, że one istnieją. Do każdego ważnego — przeczytego, że ważny —

bić pięć audycji miesięcznie, żeby jako tako żyć. Na finansowy luz może sobie pozwolić wytwórca zniczy nagrobnych, a już na pewno nie autor reportażu o tymże rzemieślniku.

— Jesteś kobietą... to może elektryzować twoich rozmówców, jeśli tylko będą mężczyźni.

— Rozumiem. Być sobą, to między innymi również i to, żeby mieć świadomość wszelkich atutów, którymi obdarzyła cię natura. A być reporterem — to umieć je wykorzystywać. Kokieleś, świadomie stosowana również jest środkami do przekraczania określonych barier. Ale to są szczegóły.

— No... powiedzmy. A więc spróbuj skokietować ciebie: ile jest przypadku i szczęścia w pracy rasowego reportera?

— Tyle, na ile pewien fotoreporter skokietował Churchilla, wyrzucając mu cygaro z ust i naciskając migawkę aparatu. Wyszedł z tego brzydka mina zirytowanego Churchilla i... słynne zdjęcie, które obiegło cały świat. A więc nie tylko szczęście tego fotoreportera, ale jego determinacja i swoista odwaga.

— W twoim przypadku, to ludzie wyrzucają ci mikrofon.

— Tylko ci, którzy boją się swoich małych sprawek, a ich agresywność daje mi szybkie i łatwe pointy. W większości jednak ludzie zwierają mi się do mikrofonu, a ja słucham. Bo reporter przede wszystkim powinien umieć słuchać.

— I dlatego twoje nagrania mają po trzy, po cztery godziny?

— Tak, ponieważ każdy człowiek, który tak długo nagrywa, ma w sobie coś jedynego, niepowtarzalnego, swoją historię. Ja próbuję to utrwalić.

— Rozumiem, że ci ludzie obnażają się przed tobą, ryzykując straking psychiczny. Czy potrafisz się z nimi zaprzyjaźnić?

— Wiele spraw polega na zaufaniu, między innymi wywiad, którego ci udzieliłam.

Zaczęłaś od przypomnienia Asii z „Uwertury do życia”. Asia utonęła w tym roku. Studiowała polonistykę i pisała pracę magisterską o twórczości ludzi niepełnosprawnych. Trafiła na obóz takich ludzi i tam, któregoś dnia wypłynęła na jezioro. W łodzi tylko ona i sternik — student politechniki — byli ludźmi zdrowymi. I tylko oni utonęli. Ciała Asii szukano dziewięć dni.

Została „Uwertura do życia” — jakiegoś ptaki, pytania osiemnastoletniej dziewczyny, patetyczne, o ludzką moralność. Tylko jej głos na taśmie, kto wie, może jedyny, żywy ślad. Jej głos słuchany w Berlinie Zachodnim na Międzynarodowej Konferencji Radiowej Sztuki Dokumentalnej, kilkakrotnie emitowany w kraju, między innymi dla słuchaczy Instytutu Dziennikarstwa.

Jej głos — a przede wszystkim ona, we mnie. I ten spacer, ona grzebiąca martwe ptaki.

A ty pytasz, czy potrafisz zaprzyjaźnić się z bohaterami swoich reportażów...

Ludzie zwierają mi się do mikrofonu

Z Ireną Linkiewicz, dziennikarką Rozgłośni PR w Zielonej Górze

— laureatką Nagrody im. K. Pruszyńskiego — rozmawia Czesław Markiewicz

da życia itd., szkoda, że ten chłopak zabił... Bo to nie jest tak: ludzie zabijają, a dla mnie będą tematy.

— A więc są granice, których dla tematu nie przekroczyłeś?

— Nigdy.

— Jak to granice?

— Wiem, o co ci chodzi. Dotarła do mnie ta anegdota, że nawet leżąc w trumnie wystawie mikrofon. Mój Boże! Dlatego, że często rozmawiam z ludźmi, którzy przekroczyli wszystkie granice, uczyć się pełnej świadomości własnych granic. A prawda jest taka, że ta granica kończy się i zaczyna na ulicy Morelowej, gdzie mieszkam. Tam nikt o mikrofonem nie wpuszcza.

— Bronisz swojej prywatności? A przecież ty sama grzebiez w ludzkich brudach. Ludzkie brudy to twój chleb.

— Być może to dla ciebie są brudy. Wiem również, że nazywają mnie „prokuratorem ludzkich sumień”. Mistrzem takiej nomenklatury jest np. Witold Szlaski, który swoją drogą też trochę ludzkich brudów wyprał i nie wiem, czy skutecznie. A ja zrobiłam kilka — myślę — niezłych reportażów, które być może komuś dały do myślenia.

— A ciebie doprowadziły do nerwicy, samokontroli i życia na tzw. widelu, pod ciągłą obserwacją. I dlatego teraz powiniem zapytać o szczegóły twojego życia prywatnego.

— Po pierwsze: żadna nerwica, lekka samokontrola, żadnych widelców, jeśli już — to noże. Po drugie: w stosunku do siebie zawsze powinien obowiązywać relatywizm. Prywatnie staram się nie być łowczynią tematów. Ba! Usiłuję za pominiąć o tym, że jestem reporterem, ale jest to niemożliwe.

— Czy ktoś wyrzucił cię z domu?

— Z domu nigdy. Ale często bywałam w sytuacjach niewygodnych dla moich

taż! Ta banalna, manualna z pozoru czynność, jest w istocie przejściem od intuicji do prawdy wyższego rzędu, do racjonalizmu. Kiedy montuję, zaczyna się porządkowanie, myślenie kategoriami ogólnymi. Są dwie drogi dojścia do uogólnienia: zaczynasz od abstrakcji i docho- dzisz do życia, lub odwrotnie: wychodzisz od jakiejś interwencji i brniesz do myśli rozwiązującej problem nie tylko ko jednego bohatera reportażu. Ja czerpię z życia, nie lekceważąc tzw. tematów interwencyjnych, chociaż sama interwencja, załatwienie sprawy, nie są dla mnie istotą. Aczkolwiek chodzi mi tylko o pewien rodzaj znajomości świata, a nie o znajomość świata w ogóle.

— Ładnie powiedziane. To nie cytaty? — Jeżeli nawet, dlaczego mam się wstydić, że inni ujęli precyzyjniej to, co mam w sobie, lecz nie potrafię tak powiedzieć?

— Ale lubisz i potrafisz korzystać z przemysłu, doświadczeń, cierpień i po wiktach innych ludzi?

— Tak, ponieważ składają się na sumę moich doświadczeń, mojej samowiedzy.

— Czy w takim razie śledzisz losy swoich bohaterów?

— To trudne pytanie, ponieważ ociera się o prawdę życia i prawdę reportażu.

— To znaczy, że w którejś z tych prawd okłamujesz?

— Nie! Tylko gdybym chciała do końca śledzić losy moich bohaterów, musiałabym zamienić się z nimi tymi losami. A przecież dla prawdy życiowej jednostkowe powikłania są tylko pretekstem. Używam świadomości dość niefrasobliwie słowa „pretekst”, żeby nie straszę pojemnością innego słowa: „uniwersum”.

— To wszystko, o czym mówimy, jest

reportażu, przystępuję jakby to był pierwszy temat w życiu. Wiedza o szkołach i kierunkach jest tylko po to, żeby ją odrzucić i dlatego jest bezwzględnie potrzebna.

— Czyli starasz się być lepsza od uznanych — nie bójmy się... reweransu — Krystyny Mellon, Krystyny Usarek, czy Janiny Jankowskiej?

— Z pełnym reweransem! Ja tylko stałam się być inna.

— Zapomniałaś o mężczyznach?

— Nie, to tylko ty nie widzisz na mojej półce książkę Jacka Stwory — „paniska” reportażu. Zazdrość mu literackości, choć niektórzy powiadają, że literackość współczesnego reportażu radiowego to „niegdysiejsze śniegi”. Ale, ale — chyba się zapędziłaś, stawiając mnie w szeregu! To nie zbiórka harcerska.

— A co, nie pochlebia ci uchylenie kapelusza przed wielkimi i wydeptywanie własnych ścieżek, choćby były nawet nieco wązkie?

— To ty teraz wymyślasz ścieżki, które rymy rzekomo chodzę. Ja po prostu robię reportaż i kiedy idę do pracy, nie myślę o żadnych „ścieżkach”. Po prostu pracuję, a Pan Bóg kule nosi.

— Wróćmy więc na ziemię. Gdybyś wplaciła na książkę PKO wszystkie pieniądze, które otrzymałaś w konkursach, uzbierałaby się niezła sumka, co?

— Owszem, ale mój syn powiada, że i tak trzy lata „skrobie” pieniądze na słuchawki dla niego. Życie reportera, pod tym względem nie ma nic wspólnego z wizerunkiem, jaki snuje się w polskich filmach, gdzie dziennikarz robi jeden reportaż tygodniowo, spijając koniaki w ekskluzywnym hotelu. Życie jest nieco brutalniejsze. Ja muszę zro-

sko miało się ponoć zacząć od odmówienia zgody na zamianę mieszkań...

Zdarzyło się pewnego dnia, iż sąsiadka w szale białej gorączki wpadła do mieszkania i rozpoczęła swoją „tyradę”. Umęczeni ludzie cierpliwie słuchali jej obelg, ale młoda kobieta w pewnej chwili nie wytrzymała i rzuciła w nią tym, co chwyciła w rękę. Owym „czymś” okazał się kryształowy wazon. Jak w najgorszej powieści kryminalnej, w ciągu kilku sekund znieawidzona sąsiadka „wydała ostatnie tchnienie”. Mordercy z przypadku — oniemieli. Długo nie mogli się pozbierać. Noca, pod osłoną ciemności, zawinęli trupa w worek po ziemniakach i zawiązali. Przenieśli do samochodu i wywieźli nad jezioro. Szybko wrzucili wórowi do wody i odjechali. Zyl jak w tran sie i nie zdziwili się, gdy niedługo potem zastukała do ich drzwi milicja. Przynieśli się do winy. Badania psychia tryczne obojga wykazały stan silnego przemęczenia, a u kobiety — depresję psychiczną. Sąd skazał ich na niewysokie wyroki, uwzględniając popełnienie czynu w afekcie.

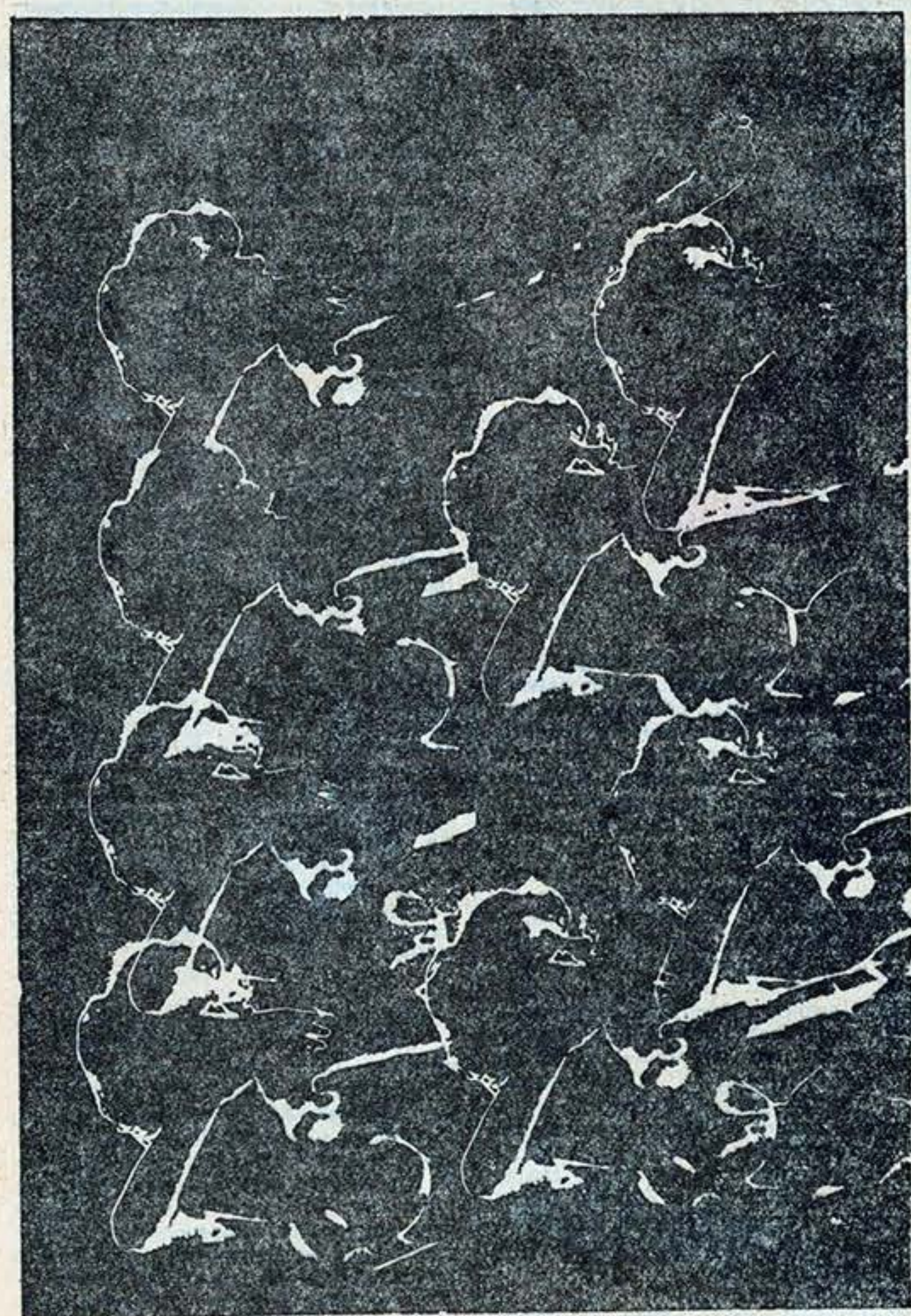
Gdy uciechła kolejna afera, mieszkańcy nieszczęsnego bloku myśleli, że już odetchną i los nie zgotuje im żadnej niespodzianki. Tymczasem...

Pewnego listopadowego dnia usłyszano, że coś dziwnego dzieje się w mieszkaniu na ostatnim piętrze. Ale przy nasłuchiowaniu hałasy cichy. Dano więc sobie z tym spokój, tyle że właściciele, mieszkania zostali poinformowani, iż „coś nie gra”.

Kiedys lokatorzy wracali ze spotkania u znajomych. Drzwi — z trzech różnych zamków — otwierał mąż. Od razu wyczuł czyjąś obecność. Trochę wystraszony zatrzymał się przy ścianie, wtedy weszła jego żona i odruchowo zatrzęsła drzwiami. I ona zorientowała się w dziwności sytuacji. Ale w świetle zapalonej lampy wszystko wyglądało dobrze. Podobnie jeden pokój, drugi, łazienka, kuchnia. Jedynie największy pokój wyglądał jak pobojowisko. Pootwierane szafy, wyciągnięta odzież, futro i kożuch, ściągnięty dywan, wyjęte butelki wódki z barku, z najciemniejszego domowego zakamarka wydobyła me talowa kasetka, już otwarta i — pusta. Małżeństwu w jednej chwili zrobiło się zimno. Oddalili się perspektywą wymarzonego samochodu. Spojrzeli na siebie, a potem — na otwarte drzwi na balkon. Dopiero teraz zauważyli, iż firanka wiewa aż na środek pokoju i z dworu ciągnie przenikliwy chłód. Mężczyzna zbliżył się do drzwi, gdy zauważył człowieka przyczołganego na balkonie. Z krzykiem skoczył na niego. Zaczęli się szarpać i bić. Złodziej, dużo wyższy i cięższy, mocno go pobił. Ten upadł na okno i głową przebił szybę. Okaleczony i pokrwawiony tkwił między szklanymi sztalami. Złodziej myślał o ucieczce, drogę na korytarz zastanawia histerycznie krzycząca kobieta, więc na powrót skierował się na balkon i... zaczął z niego schodzić, trzymając się piorunochronu. Po śliznął się na poręcz balkonu trzeciego piętra. Spadł. Nie miał szczęścia. Wylądował na asfaltowym podjeździe, a nie na pobliskiej kupie piasku. Z notatki prasowej: „zmarł po przyjeździe do szpitala”. Natomiast właściciel spiadrowanego mieszkania dochodził do siebie jeszcze przez dwa tygodnie.

Zyczymy sobie, byśmy nigdy nie mieszkali w tak pechowym domu.

EWA ZAREMBIANKA



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ



PECHOWY DOM

Bywają takie pechowe domy, a jakże. Ktoś powie — żyła wodna, złe promieniowanie. Zapewne, lecz w tym przypadku ważniejsze są nie przyczyny, a skutki...

W czteropiętrowym bloku jednego z lubuskich miast, położonych nad malowniczym jeziorem, w ciągu roku zdarzyły się cztery zgony.

Zimą — sąsiedzi zauważyli, iż od kilku dni nie pojawia się najstarsza mieszkanka bloku, przez wszystkich lubiana, uczynna babcia. Można było jej podzwać dziecko na godzinę do pilnowania, poprosić o przyniesienie mleka, gdy sama szła po zakupy, wystanie listu, itd. Na kilkakrotne pukanie — po zauważeniu nieobecności — babcia nie reagowała. Wspólnie uradowano, że wyważy się drzwi. Tymczasem jakieś dziecko nacisnęło klamkę i... drzwi puściły same. Oczom zebranych ukazał się straszny widok — na podłodze koło wejścia do kuchni leżała kobieta. Kaluza krwi dookoła jej głowy, obok sekiera — nie musiały nikogo przekonywać, co się stało... Cel zabójstwa był najprawdopodobniej rabunkowy, ale do dziś nie wiadomo, co zginęło w spiadrowanym mieszkaniu. Dotąd też nie złapano sprawcy.

Wiosną — zakochał się w dziewczynie lokator z drugiego piętra, młody chłopak, licealista. Od początku ta miłość nie miała szans. Dziewczyna nie chciała nawet słyszeć o znajomości, gdy czasem zdecydowała się na wspólne wyjście do kina, czyniła to jak z laski. W połowie maja zaczęto ją widywać ze starszym panem, który do Z. przyjeżdżał z innego miasta. Chłopak szybko dowiedział się, że dziewczyna ma kogoś. Na pozór nie przejmował się tym wcale. Nawet stał się mniej posępny. Bom ba wybuchła po dwóch tygodniach. Późno w sobotę, wracając z imieniem rodzice znaleźli syna w jego pokoju. Wisiał na rusz od kaloryfera. Nie zostawił żadnego listu. Dziewczyna była na pogrzebie...

Latem — coraz częściej stały się zatargi pomiędzy sąsiadami z parteru. Młode małżeństwo było szkanowane przez ich dotychczasową znajomą, której zaczęły przeszkadzać płaczące dzieci, granie radia czy telewizora, stukanie maszyny do szycia. Młodzi ludzie — w czasie gdy byli w domu — nie mieli zrywać zamykać drzwi i nie raz nagle napotykali sąsiadkę we własnym przedpokoju, i słyszeli potoki najohydniejszych, brukowego słownictwa, wylewanego niczym pomyje, na ich głowy, a wszy

10 lat temu, kiedy w Polsce wprowadzono reformę oświaty, zadaliśmy starzej nauczycielce pytanie: co pani sądzi o tej reformie? Odpowiedziała bez wahania: jest to kolos na glinianych nogach.

Na jednej z licznych w tamtych czasach konferencji prasowych w Ministerstwie Oświaty zapytałam ówczesnego ministra Jerzego Kuźnia, co on, jako entuzjasta reformy, sądzi o glinianych nogach oświatowego kolosa? Minister przyjął to określenie z rozbrajaniem i zapewnił, że reforma ma solidne podstawy, a z biegiem lat będą one jeszcze solidniejsze, że program budowy szkół, kształcenia nauczycieli i wyposażenia placówek powiązane z programem nauczania opracowanym na miarę naszych czasów, dadzą nam wreszcie to, czego potrzebuje kraj; nowoczesne i przygotowane do pracy kadry.

Należałam do osób podziwiających optymizm ministra nie tylko dlatego, że miał on rzadki dar przekonywania i zjednywania sojuszników. Reformę w terenie realizowali mądrzy, całym sercem oddani oświatcy. Mieli nie raz wątpliwości do szczegółów, ale nie do słuszności reformatorskich poczynań w ogóle. Do ich rozeznania miałam zaufanie.

Dziś oświata z trudem łapie oddech. Najdotkliwiej we znaki daje się brak szkół, mimo że ciągle buduje się nowe. W tym roku w kraju uczy się o 178 tys. więcej dzieci niż w roku ubiegłym. Gdyby nawet z 3861 zaplanowanych nowych izb lekcyjnych oddano do użytku wszystkie, to i tak na każdą z nich przypadnie 46 nowych uczniów. Jeśli byśmy nawet próbowali uczyć dzieci w namiotach, to wylania się następny próg: kto je ma uczyć? W Karcie Nauczyciela jest założenie, że każdy pedagog powinien mieć wyższe wykształcenie. Tymczasem w ub. roku tylko 53,9 proc. nauczycieli legitymowało się wykształceniem wyższym. Dlatego oświata musi zatrudniać osoby bez odpowiedniego przygotowania, w skrajnych przypadkach świeżo upieczonych maturzystki. Brakom lokalowym i kadrowym towarzyszy niedobór podręczników i pomocy naukowych, a także nienajlepsze zapotrzebowanie w przyrobie szkolne.

Te progi, które oświata pokonuje każdego dnia, odbijają się na nauczycielach, rodzicach, a przede wszystkim na centralnej postaci edukacji — na dziecku.

Z badań prowadzonych w ubiegłym roku szkolnym przez metodyków nauczania początkowego pod kierunkiem mgr Stanisława Sokolowskiego z Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Zielonej Górze wynika, że aż 10 proc. dzieci w klasie III nie umie czytać ze zrozumieniem. Nie będą one w stanie podjąć dalszej nauki, bo nie opanowały rzeczy podstawowej. Co piąty 10-latek jest więc kandydatem do przeciągania z kla-

sy do klasy, do coraz to bardziej pogłębiającego się odstawiania od programu szkolnego, a w konsekwencji do nerwicy, wyobcowania, być może wykołowania.

Doświadczony nauczyciel — szkoda, że jest ich coraz mniej, bo wymierają albo odchodzą na emeryturę — twierdzi, że dramatyczne niepowodzenia w nauce widoczne w starszych klasach szkoły podstawowej, mają swoje źródło już na wstępie edukacji, w „zerówce” i w klasach I—III.

W dawnych, spokojnych dla oświaty latach, start szkolny dla wszystkich

63 proc. dzieci spełniał wymogi startu szkolnego. Dlatego podejmuje się starania, by na wsi wychowaniem przedszkolnym objąć także wszystkie 5-latk.

Mimo tych wszystkich zabiegów, mniej więcej co trzecie dziecko idące do szkoły nie jest dostatecznie przygotowane do tego doniosłego faktu.

Na początku reformy od dziecka 7-letniego wymagano przygotowania do nauki czytania i odpowiedniej do wieku sprawności manualnej. Rodziców wręcz przestrzegano przed uczeniem na własną rękę.

wawczo-zawodowej, mają szansę nadrobienia braków.

Kłopoty z nauką ma także wcale nie-mała liczba dzieci w klasie 1,2 i 3-ciej. W ubiegłym roku w województwie zielonogórskim nie uzyskało promocji 339 pierwszoklasistów, 224 uczniów klas drugich i 214 uczniów klas trzecich. W sumie niewiele ponad 2 procent dzieci w tym wieku. Niby niedużo globalnie, ale dla każdego z tych dzieci pozostanie na drugi rok oznaczona dramat. Bywają przypadki, że pierwszą klasę uczeń repetyuje nie tylko rok.

Trzeba wyraźnie powiedzieć: to nie

absolwentów pedagogiki specjalnej i do-brych nauczycieli nauczania początko-wego. Stworzono tu dobre warunki lo-kalne, oddziały są mniej więcej 10-osobowe. Przed południem w „zerówce”, w klasie I, II i III uczy się tego, co jest w programie, a po obiedzie rozpoczynają się zajęcia usprawniające, których zasięg i metody są opracowa-ne indywidualnie dla każdego ucznia. Wszystkie dzieci mają bogatą dokumen-tację postępów w nauce. O tym, czy bę-dą mogły, i w jakim momencie, wrócić do swojej normalnej szkoły decyduje Wojewódzka Poradnia Wychowawczo-Zawodowa. Po powrocie do szkoły nad każdym z tych dzieci będzie czuwać re-jonowa poradnia. Chodzi o sprawdzenie, czy formuła Przylotku zda egzamin. Ten ośrodek jest nowością w naszym syste-mie oświaty, trudno znaleźć w kraju ja-kieś wzory.

Mgr Teresa Danilkiewicz — specjalist-ka nauczania początkowego mówi: „Przez 20 lat mojej pracy zawsze intere-sowałam się źródłami niepowodzeń w pierwszych latach nauki. Uważam, że jedną z głównych przyczyn tych niepo-wodzeń są zmiany nauczycieli, co prze-cież w szkole jest regułą. Jeśli dziecko nie czuje się bezpieczne, ma jakieś zabur-zenia, zniechęci się do nauczyciela i nauki w ogóle, a jeszcze do tego rodzi-cie stoją mu nad głową i wytrącają się, to w którymś momencie stanie ono w miejscu.

W Przylotku są takie właśnie dzieci. Trzeba je najpierw odblokować, rozluź-nić, uwolnić od stresów i nerwicy. Obecnie jest tu miejsce dla 40 uczniów. W przyszłości będzie szkoła z cyklem nauczania początkowego, przedszkole i inter-nat na 80 miejsc, a także mieszkania dla 10 nauczycieli.

Przylotek jest oazą, bardzo potrzebną w naszym znerwicowanym, zatłoczonym szkolnictwie. Fakt, że coś takiego powstało w chudych nie tylko dla oświa-ty, ale i dla ludzi, napawa optymizmem. Ale ośrodek może pomieścić tylko garstkę dzieci najbardziej potrzebujących lep-szych warunków niż te, które są w zwy-czajnej szkole.

A w zwyczajnej szkole wcale nie tak rzadko w klasie pierwszej do wyrów-nawczej pracy kwalifikuje się po kil-kanastu dzieci. Co można wyrównać w takiej gromadzie, zmęczonej po 6 lek-cjach — pyta nauczycielka. W praktyce usiłujemy na tych zajęciach wyrównać braki programowe, a nie deficyty ro-zwojowe poszczególnych dzieci. Program nauczania początkowego, mimo wycofa-nia przez ministerstwo niektórych par-tii, jest nadal przedmiotowy, nadal trud-ny dla przeciętnych dzieci, a takich prze-cież mamy większość.

aktorskiej i konsekwencji dramatycznej niezbędnej także w farsie, budzi po prostu zażenowanie i niesmak. Znowu powstaje pytanie, kto przepuścił taki „scenariusz”, który francuski producent nazwałby „niquette ni tete”, czyli „bez głowy i ogona”. Oczywiście nie dałby na to grosza. Groteski wojenne istnieją, np. „Babette idzie na wojnę” Christian-Jaque’a, lub „Gdzie jest generał” Chmielewskiego, „Giuseppe w Warszawie” Le-nartowicza. Jednakże te filmy miały i ręce i nogi, i elegancję.

Słabutki jest „kryminał” a la polo-naise „Koniec sezonu na lody”, a Syl-vester Szyszko naprawdę lepiej by zro-bił, osiadając na stałe w TV, gdzie pra-cować z talentem umie. Film kinowy to nie jego dziedzina.

Władysław Ikonow nie powinien debiutować pełnometrażowym filmem „Pięć kobiet na tie morza”. Tych pięć Polek chyba spadło na spadkobierców przed lub w czasie wojny w Bułgarii. Styszelimy o Polakach na Węgrzech i w Rumunii, różne były ich losy. Ale „pięć księżycowych” kobiet w Bułgarii, będących, o ile zrozumiałem, na utrzyma-niu starej „hrabiny”, to już rzeczywiś-cie jest tak przykre, że jeden z profe-sorów wymienionego reżysera w czasie projekcji łapał się za głowę. Dotych-czas uważał Ikonow za człowieka utalentowanego.

Jakie filmy z sekcji informacyjnej jako tako się bronią (poza już wymie-nioną „Sonatą” i „Harleyem”)? „Mewy” Pasendorffera, typowy „B Picture”, nie nadzwyczajnego, ale też nieszkodliwy. Ładnie zrobiony i zagrany „ESD”, naj-lepszy dotychczas film Anny Sokolow-skiej, cudem jakimś pozbawiony erotyzmu „made in Poland”, czyli na ogół okropnego. Tak zwany „prawdziwy” erotyzm przedstawiają naprawdę tylko „Luk Erosa” i „Między ustami a brzegiem pucharu”, gdzie obok ironii i groteski, a także szarży łacie pruskiej, erotyzm ma też trochę uroku w kostiumie (śliz-czyn) lub bez.

Jak więc stoi film polski w XII roku festiwalowym? Trzeba przyznać, że nie najlepiej. Najlepsze okazały się filmy sprzed lat, najsłabsze filmy „współczes-ne”, a między dwoma skrajnościami nie najgorsze adaptacje, przeważnie bardzo dobrze znanych książek i nowel. Czy nowy rok 1988 przyniesie nam jakikol-wiek przełom w kierunku ciekawszego spojrzenia na współczesność? Obawiam się, że powstana naśladownictwa „Mat-ki królów”, które jednak okazą się „kró-likami”.

LEON BUKOWIECKI

Progi i bariery edukacji

Kuracja potrzebna już na wstępie

Lucyna Grabowska

dzieci oznaczał mniej więcej to samo. W wieku 7 lat przychodziły do pierw-szej klasy surowe i tu na cztery lata brała je pod swoje skrzydła jedna pani. Ta pani na ogół była absolwentką soli-dnej firmy — Liceum Pedagogicznego — i umiała uczyć. Dzieci nie widziały poza nią świata, czuły się bezpieczne. Pani doskonale znała swoją gromadkę, bez testów i badań wiedziała, czego i jak należy uczyć.

Dziś na progu edukacji mamy system następujący: po obowiązkowym roku wstępnej nauki w przedszkolu, oddziale przedszkolnym lub „zerówce” maluch rozpoczyna 3-letni okres nauczania po-czątkowego w szkole. W sumie przed podjęciem nauki poszczególnych przed-miotów uczy się jak dawniej przez czte-ry lata, ale w jakże odmiennych warun-kach i w jakże odmienny sposób.

Oświata w ciągu ostatniego 10-lecia podjęła ogromny wysiłek w celu zapew-nienia dobrego startu szkolnego. W wo-jewództwie zielonogórskim 61 proc. dzie-ci w wieku od 3 do 6 lat chodzi do przedszkola. Jest to bardzo wysoki (choć jeszcze za mały w stosunku do potrzeb) wskaźnik plasujący zielonogórskie na II miejscu w kraju. Wszystkie 6-latk i uczęszczają do przedszkola, do oddziału przedszkolnego albo do „zerówki”. Są one przygotowywane do szkoły według jednego programu, ale w różny sposób, w zależności od bazy i kadry nauczyciel-skiej. Z badań analizujących dojrzałość szkolną dzieci wynika, że najlepsze wy-niki osiągają przedszkola w małych miastach, najgorsze — oddziały przed-szkolne na wsi. W tych ostatnich tylko

Obecnie próg wymagań jest wyższy i wynika on z doświadczeń krótszego, bo trwającego tylko trzy lata nauczania po-czątkowego. Dziecko powinno umieć: czytać pismo drukowane (bez dwuzna-ków i zmiekczeń), dokonać analizy i syn-tezy prostych wyrazów, policzyć, ile gło-sek i liter ma wyraz, odróżniać spół-głoski i samogłoski. Z matematyki wy-magane jest opanowanie monografii liczb do 10, znajomość pojęcia plus i minus.

Jak ten (najogólniej tu przedstawio-ny) program ma się do możliwości dzie-ci 6-letnich? Jeśli mamy do czynienia z dzieckiem zdolnym, wszystko idzie względnie gładko. Ale bardzo trudno jest średnio lub mało zdolnego 6-latka nauczyć czytać, a już wprost orką jest uczenie go analizy i syntezy wyrazu. Sek w tym, mówią nauczycielki, że uc-zymy dzieci bardzo różnie. Wiele z nich nie potrafi, nie jest w stanie skon-centrować u. agi. Wymagają dodatko-wych ćwiczeń. Kiedy i jak to robić, skoro program jest obszerny, a grupy bardzo liczne?

Trudności postębia fakt, że z roku na rok mamy coraz więcej dzieci z kłopotami w nauce spowodowanymi zaburze-niami i zaniedbaniami rozwojowymi. Coraz więcej dzieci 7-letnich odracza się od obowiązków szkolnego. W ub roku szkolnym kuratorium zielonogórskie za-notowało 144 takie przypadki — 86 w mieście i 58 na wsi. Tym dzieciom przed-lużono jeszcze na rok pobyt w jednej z istniejących form wychowania przed-szkolnego. Jeśli będą otoczone właściwą opieką według zaleceń poradni wycho-

są dzieci upośledzone. One mają róż-ne rodzaje wady, opóźnienia utrudnia-jące naukę czytania i pisanie. Normal-nymi metodami nie nauczą się tych dwóch podstawowych rzeczy, wymagają metod specjalnych.

Stąd w zielonogórskim Kuratorium Oświaty i Wychowania zrodziła się idea utworzenia specjalnego Ośrodka Szkol-no-Wychowawczego. Powstał on w Przy-toku, w byłym pałacu, kiedyś wykorzy-sywanym tylko w czasie wakacji na kol-onie, a następnie przejętym i wyremon-towanym przez oświatę. Remont to osobny rozdział podobnie jak wszystkie remonty. Przez dwa lata dyrektor ośro-dka Mieczysław Masłowski dwójlił się, troił, wszedł i wzdłuż przemierzył Pol-skę w poszukiwaniu materiałów, a po-tem stał na głowie, by znaleźć wyko-nawców. We wrześniu 1986 r. urucho-miono tu klasę zerową i klasę pierw-szą. Przyjęto dzieci w wieku od 7 do 11 lat odroczone od obowiązku szkol-nego i dzieci chodzące już do szkoły, ale mające trudności. Połowa z nich już po roku wróciła do swoich macierzystych szkół.

Ośrodek w Przylotku ma zasięg woje-wódzki i przeznaczony jest dla dzieci z trudnościami w nauce spowodowanymi zaburzeniami i zaniedbaniami ro-zwojowymi. Są tu dzieci z wadami wy-mowy, słuchu, zaburzeniami emocjo-nalnymi w większości wywodzące się z rodzin wielodzietnych, mieszkających w trudnych warunkach, nie radzących so-bie z wychowaniem lub po prostu bied-nych.

W Przylotku zgromadzono wykwalifi-kowaną kadrę: logopedów, psychologów,



XII FILMOWY GDAŃSK W GDYNI

nariusza i reżyserii znanego twórcy, jest to adaptacja spisanej historii książek pszczyńskich, w filmie dla niepoznaki nazwanych von Teuss.

Jakie filmy współczesne lub quasi — współczesne zostały więc nagrodzone? „Życie wewnętrzne” Marka Kotarskie-go — za reżyserię i montaż, „Anioł w szafie” Stanisława Różewicza — za zdję-cia i dźwięk. Jerzemu Stuhrowi przyz-nała nagrodę za szumnie nazwaną „rolę drugoplanową” w rzeczywistości czterominutowy epizodzik w filmie „Pociąg do Hollywood”, dwukrotnie nagrodzo-no też „Cudowne dziecko” Waldemara Dzikięgo — za reżyserię i dekorację. Je-dyny godny nazwy „film”, dzieło tele-wizyjne Krzysztofa Grubera „Sala nr 6”, okazał się też adaptacją, tym razem Antoniego Czechowa.

Warto przyrzeć się sekcji informacyjnej, czyli filmom wyrzuconym poza nawias nagród oficjalnych. Tylko jeden („Szkoła kochanków”) był adaptacją ko-stiumową i ten otrzymał nagrodę. Pozostałych 13 dzieliło się na: współczesne — 8, wojenne — 2, dla dzieci — 2. Otóż żaden z filmów współczesnych biorących udział w głównym festiwalu i żaden z 8 filmów współczesnych z sekcji informacyjnej nie dostał ani nagro-dy, ani wyróżnienia. Z filmów pozosta-łych, wyświetlanych na festiwalu głów-nym, tylko 2 zostały poza nagrodami („Komediantka” według Reymonta Je-rzego Sztwiertni i „Przyjaciel wesołego diabła” Łukaszczyka). Filmy współ-czesne były na bardzo niskim poziomie. Jakim cudem na główny festiwal dostał się najgorszy film bieżącego roku, „Pogrzeb Iwa” Jana Rutkiewicza (oku-pacja jako ilustracja głupek tezy), zrozumieć nie mogę. Drugim takim „cu-dem” był także głośno wyśmiany „Głód serca”, niestety Romana Załuskiego, grany źle aż do bólu i co najdziwniej-



Ewa Kasprzyk i Jerzy Zelnik w filmie Romana Załuskiego pt. „Głód serca”

szę, „Nieproszony gość” samego Felik-sa Falka. Tym razem reżyser nie miał nic do powiedzenia, ale kazał dobrym aktorom fatalnie grać wydumane sytua-cje. Na niewiele lepszą ocenę zasługuje „Smierć Johna L.” Tomasza Zygady. Podobnie nieznośna była „Ojcowizna” (TV) Franciszka Trzeciaka.

Natomiast niezrozumiała jest decyzja niedopuszczenia do konkursu bardzo ci-kawego, chociaż niedopracowanego fil-mu Jerzego Ridana „Sonata Marymon-cka”, wyświetlanego w czasie zjazdu Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Czyżby chodziło o to, by tego znako-mie granego filmu nikt nie mógł zo-baczyć? Osobiście byłbym też za udział-em w festiwalu dziwnie bajki Wiesława Helaka „Opowieść Harley’a”, w której widać jeszcze debiutanckie błędy, ale zarazem jakąś filmową fantazję i po-mysłowość. Tak samo Waldemar Pod-górski, który zrealizował już bardzo źle i ostro przeze mnie krytykowane filmy, nie musi się wstydyć harserskiego fil-miku „Czarne stopy”, zrobionego lekko, chociaż zbyt długiego jak na wattość scenariusza, ale granego przez chłopców

w sposób bardzo naturalny (dorośli go-si, na szczęście w epizodach).

Nie popisałi się też inni twórcy. Nie udał się „Biały smok” Domaradzkiemu i Morgensternowi. Jest niemrawy i nie-ciekawy. Jest to jednak wielkie osiągni-ęcie w porównaniu z dwoma filmami Kidawy — „Pan Samochodzik i niesamowity dwór”, a raczej niesamowity wór bezsensownych pomysłów i pomy-leń stylów filmowych, oraz przede wszy-stkim żenujący „Komdanci z wczoraj-szej ulicy”, grani wprost potwornie przez nie wiem skąd wydobytch amatorów.

Obawiam się jednak, że „pobili” wszy-stkich w zakresie złego smaku i non-sensu scenariusza Janusz Rzeszewski filmem „Misja specjalna”. Rzeszewski widział obie wersje „Być albo nie być” — komedię Lubitscha i groteskę Bro-ksa. Quasi-parodia tych filmów, poz-bawiona pomysłu, scenariusza, reżyserii, montażu, dopuszczalnego poziomu gry

Tak

Tak tak
ciebie nie ma
to kamienne niebo
pochłania odbicie nieomyślne i stałe
Ciebie nie ma to tylko ja coraz bliżej
wymurzam się z nocy wychylałam się pełną
d Ciebie z małą raną świtu
na powiecie z kamieniem milczenia w gardle
Tak nie ma ciebie w białych skorupkach
snu i pięknej woni jałowców Nie ma cię
także w bolesnych szczelinach zimnych
drzew To tylko we mnie tłucze się
cień za cieniem Nas oboje

Symbole

Lady — wzięte lady kobiecej północy
Góry — szczyty soli i liście bawelny
Kamień — dar szaleństwa jak żal ogniotrwały
Sen poety — to tylko sen poety



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Salome porzucona

A gdy przybyło jej dni i gdy przestała
przeplwać jego sny Gdy trwoga
nadwzięła jej serce i gdy przestała
sympiać z miłosnego wyczerpania
zdjęła kapelusz i chciała spojrzeć
przeistniała oczy do lustra
sądząc że pozbawi je wiecznego księżycy
wszak jej oczy młotowały najbardziej
I coś się stało coś takiego się stało
że w nocy udręczenia krzyknął boleśnie
Płomień dnia zaskwiercał
pozbawiając ich siebie w patrzeniu
nastąpiła noc wydłużająca cienie
błędnego ogrodu Przestali rozumieć
czego trzeba im w samotności
i już na nowo lekali się zatracenia
Kiedy po latach ich nagle spotkały się
nie spodzianie w locie
nie musiała otwierać oczu
świecił wiatr a światło śmierci
złamało płasko
zawodziło na jego powiecie

Magia skrzypiec

Ciąg dalszy ze str. 3

— Czy lubi Pan muzykę zwaną lek-
ką?

— Lubię muzykę w ogóle, we wszy-
stkich jej gatunkach, stylach i wykona-
niach, pod warunkiem, że jest to muzy-
ka dobra, bez rażących uproszczeń. Nie
znoszę w muzyce łatwizny, ubóstwa, pro-
stactwa.

— Jakby Pan określił siebie, osobi-
ście i prywatnie?

— Domator lubiący majsterkowanie.
— Majsterkowanie niszczy ręce, a
skrzypek powinien mieć palce delikat-
ne.

— Ja ręk nie pielęgnuję szczególnie
i nie oszczędzam. Jeśli jest coś do zro-
bienia, robię, jeśli do dzwigania, dźwi-
gam.

— Co zdaniem Pana jest w życiu
najważniejsze?

— Nad tym jeszcze się nie zastana-
wiałem. Pomyślę i spróbuję odpowie-
dzieć, co jest najważniejsze dla mnie...
Moja praca. Cenię to, co osiągnąłem
i kocham to, co robię. Ale też nie ży-
ję wyłącznie swoją karierą artystyczną
i nie rezygnuję dla niej z innych
spraw.

— Na przykład z rodziny?

— Właśnie.

— Proszę powiedzieć coś o rodzinie.

— Zna jest skrzypaczką w Filhar-
monii Narodowej Dwie córki w wieku
8 i 10 lat już chwyciły skrzypce do
rąk.

— Niektórzy soliści poza koncertowa-
niem zajmują się pracą pedagogiczną.
A Pan?

— Na razie nie. Może, kiedyś...

— Gdy rozmawialiśmy przed 21 la-
ty, stał Pan za ledwie u progu kariery
i wszystko było jeszcze nierozstrzygnięte.
Dzisiaj największe sale koncertowe
świata stoją przed Panem otworem i
Pańskie nazwisko znane jest na obu
półkulach. Wówczas, pomimo bardzo
młodego wieku, był Pan szalenie po-
ważny, dziś wydaje się awersy...

— Bo też taki jestem a Pani wciąż
chce widzieć we mnie chłopczyka. Te
raz ja o coś zapytam Gdzie zostanie
wydrukowana nasza rozmowa?

— W dwutygodniku „Nadodrza”.

— Aha...

— Czy zgodzą się Pan na druk bez
autoryzacji?

— Oczywiście. Kiedyś, gdy się spotka-
my, da mi Pani ten numer „Nadodrza”
do przeczytania.

— Mam jeszcze jedno pytanie. Czy
nie kusi Pana zagranica?

— Żeby wyjechać i mieszkać tam na
stałe? A po co?

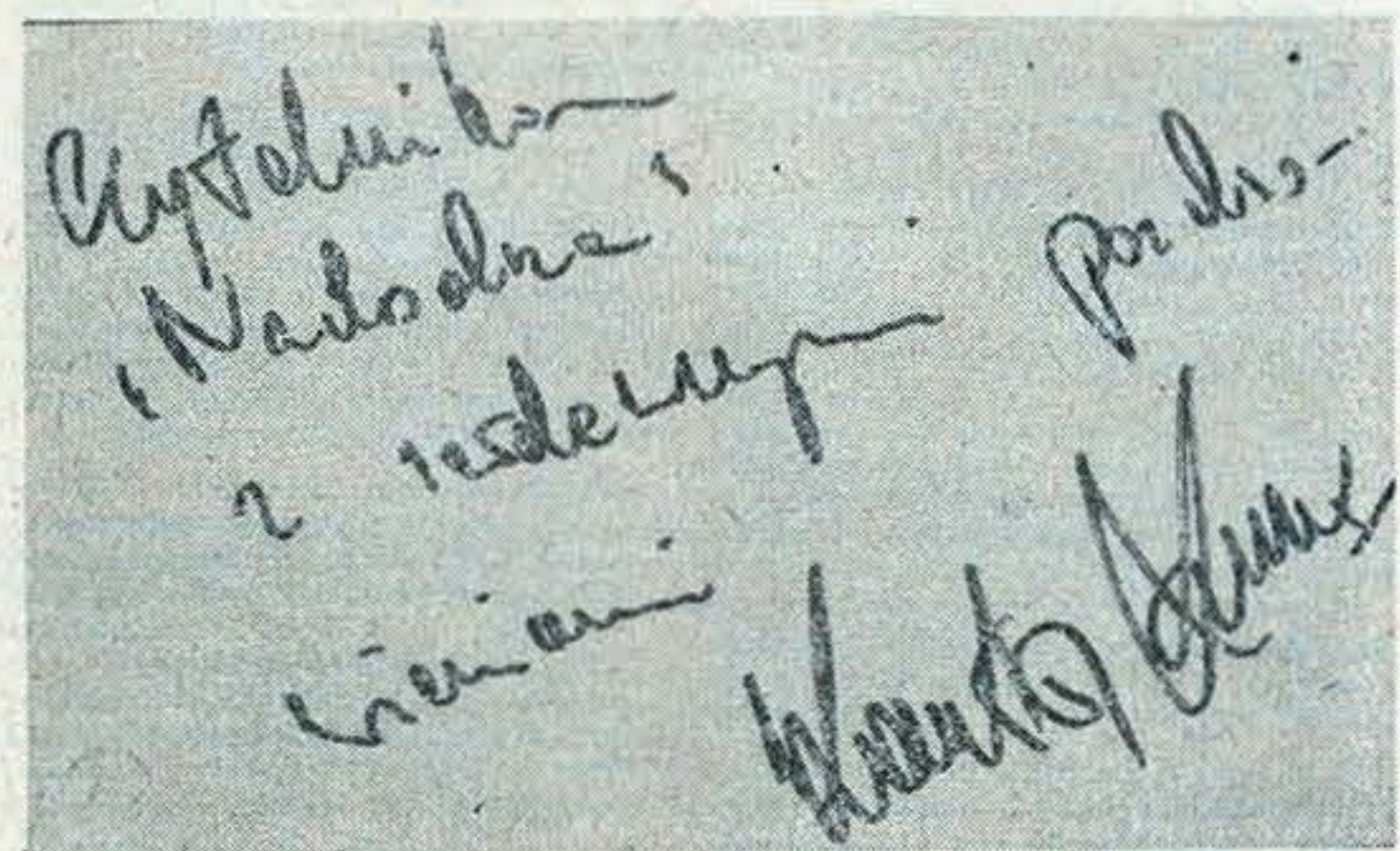
— Życzę Panu wiele szczęścia.

— * —

Konstanty Andrzej Kulka w sali Fil-
harmonii Zielonogórskiej 30 września
br., wystąpił bez orkiestry, bez akom-
paniatora. Tylko on — i skrzypce. Wy-
konał Sonatę starowłoską Gaminiego,
Partię Bacha, Wariacje Paganinie-
go, Adagio z baletu „Gajane” Chacza-
turiana, „Kaprysta polski” Bacewiczów-
ny, a na gorące bis, raz jeszcze blę-
snał Paganinim...

Sluchając Konstantego Andrzeja
Kulki, świecie wierzyć się w ową ma-
giczność skrzypiec, instrumentu na po-
ły anielskiego, na pół diabelskiego.
Schubert powiedział, że gdy gra Paga-
nini, słychać śpiew aniołów, a Sarasa-
te we śnie ujrzał diabła grającego na
skrzypcach — i po obudzeniu się, spi-
sał tę przejmującą melodię...

Jak Paganini kiedyś fascynował tłu-
my, tak Konstanty Andrzej Kulka za-
fascynował zielonogórską publiczność.
Wśród bisów, braw i owacji odbierał
wreżane mu kwiaty, m.in. z rączek
małej skrzypaczki Dobruśki Siudmak,



HALINA ANSKA

Daleko do kresu

Ciąg dalszy ze str. 3

Oprawcy, którzy są symbolami przy-
szłości i „mają prawo wkraczać w każ-
dej chwili”, czynią to rzadko, a pierw-
sze wejście wzbudza śmiech: ni to słoń,
ni to stonoga z ogonem. Jeśli Oprawcy
nie przerażają, to nie ma sensu cała wi-
zja zagłady narodu, ludzkości, nie ma w
ogóle sensu groza historii.

Jest w gorzowskiej „Pulapce” począt-
tek. Ale daleko do kresu znaczeń. Po-
czucie dosłowności zdarzeń pogłębia sce-
nografia Ewy i Wiesława Strebejków.
Pełno tu mebli, nie tylko ważnych zna-
czeniowo szaf; więcej niż trzeba Meble
te przedstawiane są do każdej sceny. Ma-
szyniści wchodzi i wychodzą. Traga-
rze wchodzi i wychodzą, potem Oprawcy
wchodzi i wychodzą. Po prostu bałagan.
A jakże piękna, bo czysta w wyrazie jest
scena rozmowy Franza z siostrami w
sądzie. Nad głowami rozmawiających wi-
szą prawdziwe jabłka, trochę jak z cho-
inki. A później — dla kontrastu —
pustka po nich, zwykłe haczyki, sznur-
ki. Scena emanuje ciepłem, blaskiem,
subtelnie zagrana jest przez Beatę Cho-
rażykiewicz. W sądzie Franz też inny,
niż w pozostałych scenach: prawdziwy,
ludzki, zagubiony, potrzebujący miłości
gotowy tę miłość odwzajemnić.

W Teatrze im. J. Osterwy „Pulapkę”
realizuje jakby nowy zespół aktorski.
Niemal wszystkie ważniejsze role kreują
aktorzy, którzy rozpoczynają swój go-
rzoński etap, a Marek Łyczkowski po-
wrócił tu po raz drugi. Dla Krzyszto-
fa Malinowskiego etap ten rozpoczął
się od bardzo trudnej roli Franza. Nie
pamiętam, by któryś ze wcześniejszych
odtwórców, zadowolili krytyków. Praw-
dopodobnie dlatego, że każdy z odbior-
ców sam kreuje sobie tę postać. Jedni
— bliższą Kafce, inni — pogłębiającą przez
świadomość symboli, zależności i kon-
tekstów, jakie niesie sztuka. Malinow-
ski jest chudy i blady, jak przystało na
neurastenika. Ma kamienną twarz. Tyl-
ko w scenie z Otiłą ta twarz nabiera
blasku, prawdy. W pozostałych maska
jest tak szczelna, że nie bardzo wiado-
mo, co się za nią kryje. W finałowej
scenie z ojcem ma twarz pokonanego.
Szkoda jednak, że wcześniejsze ograni-
czenia nie ukazują głębi kłeski.

Z kolei postać Ojca obrosła legendą
znakomitych kreacji Marka Walczew-
skiego i Stanisława Michalskiego. Oj-
ciec, ten wykipiany przez syna — inte-
lektualistę „potwór”, w scenie fina-
łowej okazuje więcej odwagi, siły, wi-
talności (choć przecież jest to scena je-
go śmierci). Tylko on będzie wiedział,
jak przeciwstawić się historii, jak wziąć
się za bary z tym, co stanowi kłeskę
syna. Ale on też umrze, bo takie jest
prawo biologii, ta pulapka ciała. Dobra
to rola Marka Łyczkowskiego.

pupilli zielonogórskich muzyków, któ-
ra w parę dni później zagrać miała z
orkiestrą Koncertu Vivaldiego...

„Las moim ojcem, kon, baran lub
ryba moim głosem,” zgadnijcie, czym
jestem? Ty jesteś skrzypce, „wesole
drzewko”, co „wesole śpiwa”... Stwo-
rzone w XVII wieku skrzypce, trwają
niezmienione ponad 300 lat, od cza-
sów Amatiego i Stradivariusa. Są ide-
ałem i fenomenem.

O fenomenie skrzypiec i fenomenie
Paganiniego — skrzypka wszech cza-
sów, nadzwyczaj interesujący i ze „na-
jomością tematu mówił Zbigniew Pa-
wlicki, szef Krajowego Biura Koncer-
towego. Szkoda jednak, że skoncentro-
wał się na instrumentach i tak mało
miejsc w swych zapowiedziach po-
święcił bohaterowi wieczoru — K.A.
Kulce. Poza informacją o I nagrodzie
w Monachium oraz o tym, że artysta
otrzymał niedawno odznaczenie „Za-
służony dla kultury narodowej”, nie
usłyszeliśmy właściwie nic więcej. A
przecież można było przedstawić syl-
wetkę artystyczną Konstantego Andrze-
ja Kulki. Tego właśnie zabrakło.

Występ Konstantego Andrzeja Kul-
ki, który Zieloną Górę odwiedził już
trzeci raz, był niewątpliwie najwięk-
szą atrakcją odbywających się na prze-
łomie września i października br., po-
raz dwudziesty piąty, Zielonogórskich
Spotkań Muzycznych, organizowanych
przez niestrudzone, wciąż pełne in-
wencji, Lubuskie Towarzystwo Mu-
zyczne im. Henryka Wieniawskiego.

HALINA ANSKA

Partnerując mu na scenie w roli Ma-
rii Marię Wójcikowską chciałyby się po-
równać do Barbary Ludwiżanki, tyle w
niej ciepła, rodzicielskiej wyrozumia-
łości, miłości do tego — zdaniem Ojca
— nieudanego syna. Na gorzowskiej sce-
nie witamy również Grażynę Sulikow-
ską, która jako Greta wyraźnie zazna-
czyła swoją osobowość. W gronie głów-
nych wykonawców znalazła się tylko jed-
na aktorka od kilku lat występująca na
gorzowskiej scenie — Danuta Lewan-
dowska. Jako Felice powtórzyła wcze-
niejsze role. Znowu nadmierna agresja,
zaborczość, a przy tym wewnętrzna ja-
łowość. Rola poprowadzona nieprawdzi-
wie i nieprzekonywająco. Spośród in-
nych wykonawców pozostają w pamięci
Wojciech Deneka jako Fryzjer, And-
rzej Kietliński jako Wyrastek i jak
było powiedziane — Beata Chorażykie-
wicz jako Otiła.

Teatr ostatnich lat chętnie sięga po
biografie. Nieprzypadkowo dużym po-
wodzeniem cieszą się sztuki Enquista.
Dla Różewicza „Pulapka” jest sumą
wieloletnich doświadczeń, zmagań, rozwa-
żań, w których Franz Kafka i jego dzie-
ło, to były tylko źródła impulsów. Tam
się wszystko zaczynało. A gdzie koń-
czyło? Wniosek jest wiele, nazbyt wie-
le, by je zamknąć w jednym zdaniu. By-
je w ogóle nazwać. Obawiam się, że
przedstawienie, a szczególnie komen-
tarz zawarty w programie, zamykają
dociekania, czyniąc z „Pulapki” opo-
wieść biograficzną. A to za mało.

KRISTYNA KAMIŃSKA

Jak już informowaliśmy, Cze-
sław Łuniewicz, artysta-foto-
grafik z Zielonej Góry, został
laureatem tegorocznej nagrody
naszego pisma, przyznawanej
za wybitny udział w rozwoju
kultury środkowego Nadodrza.
Uroczystość wręczenia plakiet-
ki „Winiarka” odbyła się w
sali witrażowej Muzeum Zie-
mi Lubuskiej w obecności
władz regionu i miasta, licznie
przybyłych czytelników „Nad-
odrza” oraz przyjaciół Laure-
ata.

Na zdjęciu: Czesław Łuniewicz
otrzymuje nagrodę z rąk Ja-
nusza Koniusza, naczelnego re-
daktora „Nadodrza”



Fot.: B. BUGIEL

Znowu siedząc w swoim pokoju kroków Niny nastuchiwałem. Te jej kroki jakoś dziwnie na mnie działały. Sam nie wiem, gdzie je słyszałem. Czy na korytarzu, czy w swojej głowie, czy w ogóle było coś do słuchania.

A ona pewnie gdzieś tam piętro wyżej chodziła i każdy w jej posładki mógł się wgapić, jak ten Mazow zboczony. Ale i przecież na tamtym piętrze same kobiety pracowały, więc tylko one mogły... Zresztą co ja sobie za myśli wymyśliłem, że nawet lesbijstwa wykluczyć nie mogłem. I to wszystko z tego oczekiwania niecierpliwego i z tej dyskusji, co ja dopiero wysłuchałem.

A ona już pewnie po schodach schodziła. Co należało najpierw powiedzieć? Jak się zachować? Oczywiście najpierw do środka wpuścić, krzesło podsunąć i drzwi zamknąć. Ale co potem? Może o tych kolanach naszych, co wtedy pod stołem a szklanki na stole, i o tym ogłoszeniu, że to nie tak było, żadna aluzja ani nie podobno. Przepraszam, czy czekać aż ona na przeprosiny się zdecyduje?

A ona już może na półpiętrze włosy poprawiała.

Gwałtownie zacząłem porządkować. Papiery segregowałem, kosz ze śmieciami za szafą ukryłem i szmatą szyby w oknie zamierałem wyciszyć, kiedy do głowy mi przyszło, że taki robo-

nie jej kolano, że żadne tam porozumienie nóg naszych, ale, że to szuflada mojego biurka. Jak mogłem o tym zapomnieć. Przecież codziennie kolano tam uderzałem, nawet czasami siniaka sobie nabijając, a tu jedno spojrzenie wystarczyło, żeby o szufladzie lubieżnie zaczął ocierać zupełnie o niej zapominając. Powinienem to jako drugie ostrzeżenie potraktować.

Ale siedziałem. Głupkowato uśmiechnięty, śpiący, w tył na krześle odchylony, jakby tego biurka, co między nami, w ogóle za barierę nie uważał.

— Jak o mnie już tyle wiesz, to nie mamy na co czekać.

W pierwszej chwili ani słowa nie zrozumiałem. Dopiero po dłuższym czasie te dźwięki w słowa się ułożyły, ale w dalszym ciągu nie wiedziałem, co one znaczą. Co niby wiedziałem? No co czekać? I dlaczego „my”?

A Nina wstała. Już nie takim ruchem kocim, zupełnie normalnie. Jakby raczej gdzieś się spieszyła. Tylko od pasa w górę ją widziałem, gdyż ciągle za biurkiem przy krześle stała. Trochę do przodu się pochyliła pod spódnicę ręce wkładając. Biodrami zaczęła kołysać. Wargi lekko przygryzła, jakby z czymś się mocowała. Potem jeszcze bardziej się pochyliła, że aż cała za biurkiem mi zniknęła.

na kasjera mi się skojarzyła. Ten jej pośpiech, jakby jak tamta tylko pięć minut miała, między zniknięciem a kolejnym pojawieniem. Nawet nie zdążyłem się nad tym podobieństwem zastanowić, kiedy ona już przede mną na biurku leżała, spódnice do góry zadzierając, cała od dołu otwarta, że aż wewnątrz jej jelita mogłem zobaczyć.

— Mazow może tutaj przyjść — sam nie wiem dlaczego to powiedziałem; było to tak; jakby ktoś za mnie to powiedział.

— Co ty gadasz? Przecież na urlop pojechał. Właśnie, co ja gadałem.

Wtedy ona mnie na siebie pociągnęła. Całe to jej krępkie, choć nie tuste ciało pod sobą czułem, i kant biurka, co w moje uda się wrzynał. Najpierw ona, potem już oboje z moim paskiem przy spodniach się szamotaliśmy. Kiedy wreszcie z garderobą się uporałem, dotarło do mojej świadomości, że drzwi na klucz nie zamknąłem.

Zmarszczył jeszcze nie miała. Cała jej szyja na gładką wyglądała, tylko gdzieś tam, gdzie delikatne rysy widać było, zwłaszcza tam, gdzie skóra przy ruchach głową się zaginała. Oczy miałam tuż przy jej koleczkach, które wyrwany mi włosami się jeżyły.

Jakiś zapach poczułem. Pewnie jej perfumy, a może to pot był. Jej wlochaty sweter trochę mnie laskotał. Dłonie całe spoczone miałam, więc je do tego swetera delikatnie wytarłem, niby pieczęć czy coś podobnego symulując.

Co z tobą? — zapytała.

Właśnie. Co ze mną się działo?

Mimo, że Nina ręką mi pomagała, nic z tego nie wychodziło. Wciąż gotowości nie mogłem osiągnąć. I nie się nie zmieniało, nawet gdy jej posładków krępkie dotykałem, tych posładków, co Mazow równych im w telewizji nie mógł się dopatrzeć. Myśli różne i wspomnienia też nic nie pomagały, żadnego efektu nie było.

Ta jej szyja, to ucho z koleczkiem, cała spódnica podwinięta, ciało krępkie, ciepłe, może na wet do białości rozpalone, zapachy, że aż w głowie się kręciło. I nic.

Oddech ciepły, elektryzujący. I nic.

— Co ty? Nie możesz?

— Zawsze mogłem.

I nic.

— Zejdź ze mnie.

I poszła. Swoje majtki wciągnęła i poszła. Bez słowa, bez spojrzenia, bez uśmiechu, którym mogła mnie pognać. Nina — dziewczyna. Jej ciało krępkie... i tak dalej.

Zimno mi się w ten mój organ nieodpowiedzialny zrobiło, więc spódnice wciągnąłem, tym razem bez szamotaniny z paskiem sobie radząc. Stałem w drzwi wpatrzony, a biurko przede mną, na którym przed chwilą my jeszcze oboje... Jak mogło się to stać, jaka przyczyna była?

Może powinienem jej powiedzieć, że córkę mam, że wcale żadnym impotentem nie jestem. Ale to niczego by nie zmieniło, tylko by wyglądało, że się usprawiedliwiałem. Jeszcze bardziej takim wyznaniem bym się ośmieszył.

I czyja w tym wina była? Najmniejszej wadliwości nie miałem. To on do tego się przyczynił. Nie ważne, czy w biurze, na urlopie czy w śnie to się zdarzyło: on był tylko jeden i on za to wszystko odpowiadał. Jego głos, jego kroki, jego teorie, żarty, pokój, hotel i tak dalej, wszystko ko za mną się wlokło. On na mnie urok rzucił.

Potem dopiero się zorientowałem, co to za zapach był, który przy Niny wyczuwałem. To jego zapach. Sam nie wiem skąd się we mnie ta pewność wzięła, że to jego zapach, ale po prostu innego wyjścia nie potrafiłem znaleźć. Jak mogłem w ogóle coś do Niny czuć, kiedy ona zapach Mazowa wydzielala. Przecież to tak, jakbym z nim się kładł, jego tyłka dotykał i tak dalej.

A te włosy, które do jej koleczka się przyczepiły. Przecież one zupełnie innego koloru były. To jego włosy tam się przyczepić musiały.

Zdawało mi się, że jego kroki w korytarzu usłyszałem. Jednak kiedy drzwi otworzyłem nikt go nie było widać. Pewnie się ukrył, może znowu jakąś niespodziankę dla mnie przygotował. Należało się pilnować. Nie mogłem też wykluczyć, że znowu do mnie Niny przysła, że znowu jej polecą się na biurku położyć.

Nie! Wszystko tylko nie to. Tego nie mógł zrobić. Ona by się na coś takiego nie zgodziła. Jej winy w tym nie było. Tylko jego, a właściwie moja, ale z jego powodu. On do tego wszystkiego mnie doprowadził, jak marionetkę, jak pajacę jakiegos, którego sznurki on pociągał. Szurki niewidoczne.

Kiedy sobie to wszystko w moim pokoju blurym jeszcze raz analizowałem, miałem wielką ochotę o wszystkim zapomnieć. Chciałem jakieś piątkę się oddać, o wszystkim zapomnieć, wstydu się pozbyć i tych obrazów wszystkich, które ciągle przed oczami miałem. Koleczki i włosy, krępkie ciało prowokacyjnie rozchylone i to „nic”, które mi się przydarzyło. Nawet żadnej pociechy nie mogłem sobie w tym wspomnieniu wyszukać.

Na myśl o biurze, o tym korytarzu za drzwiami, o pokojach zwłaszcza o jednym pokoju z to telem, na samą myśl o tym, co za drzwiami, o brzydzeniu mnie brało. Nie chciałem żadnej twarzy znajomej widzieć, żadnej rozmowy prowadzić, ani nawet słyszeć. Tylko wyjść, wymknąć się niepostrzeżenie. Żadnej wiadomości zostawić nie zamierałem, tylko wyjść i wódki się napić. Wszystkich znajomych zapomnieć, co mówili i ro bili, twarze ich z pamięci wymazać. Zwłaszcza jedną twarz, że najgorszą, co do tego wszystkiego doprowadziła.

Wymknąć się.

Upić się.

W drogę ruszyć.

Pióro zatkalem, do etui włożyłem, etui do pudełka, pudełko do szuflady, a szufladę zamknąłem. Wszystko cicho i spokojnie, żadnego głosu nie prowokując. Papiery na stosik złożyłem, stosik do teczek schowałem, teczkę do segregatora, segregator na półkę a szafę zamknąłem. Bezszmerowo znowu. Potem papiery zniszczone do kosza wrzuciłem, zapalniczkę do kieszeni włożyłem, papierosy do drugiej szklanki na szycie, marynarkę na sweter, płaszcz na marynarkę, czapkę do ręki, teczkę do drugiej i cicho ku drzwiom ruszyłem. Rękę na klamkę. Głowe na korytarz wystawiłem. Pusto było. Wyszedłem drzwi bezdźwięcznie zamykając. Na palcach szedłem. Buty lekkie, bardziej wiosenne, niż zimowe, ale to nieważne, ważne, że skrzypienia nie wydają, że są szalne nie byłem. Dla niego zwłaszcza, dla tego diabła z pokoju, co na końcu korytarza się znajdował.

A JA CZEKAŁEM...

Andrzej Tużiak

czy nieład bardziej na miejscu będzie, więc zacząłem papiery po stole rozkładać i kosz z szafy wydobryłem. Może należało ciemną odgrywać zasłoniętego i nieporadnego.

A ona już ku moim drzwom zmierziała.

Jej nogi, jej ciało krępkie, choć nie tuste, tak jak lubię. Jej włosy... Jakie włosy? Nie wiedziałem jakie włosy, choć usilnie w pamięci grzebałem. Jakies włosy, jakies wszystko; najważniejsza to, że w ogóle jakieś było, choć ja tego nazwać nie potrafiłem. Wcale nie musiało tego nazywać, żeby jakimś było. Jej jakoś sama z siebie pochodziła, a mnie nic do tego. Nie byłem Mazowem, żeby wszystko określać, szeregować, definiować i w ramy jakiejś teorii wpychać. Dla mnie ona właśnie istnienie posiadała, niepowtarzalnie, do żadnych takich ram nie pasujące. Bu rzyć tego nie zamierałem.

A ona już gdzieś... A ja czekałem.

I w końcu się doczekałem. Tych kroków, co dziwne na mnie działały. Coraz bliższych, jakby niesmiatych, choć może to one tylko mnie takimi się wydawały. Podchodziły i podchodziły. I wcale coraz głośniejsze nie były. Jakby ktoś w miejscu chodził. I już myślałem, że to nie ona i że nie do mnie, kiedy ktoś delikatnie do drzwi zastukał, paznokciami samymi.

To Nina. Nie musiałem drzwi otwierać, żeby się upewnić. Jej trzydziestoletnie ciało, ładne, krępkie, choć nie tuste, takie jak lubię, właśnie tam stało, kiedy drzwi otworzyłem. Uśmiechami trochę sztucznymi się pozdrowiliśmy.

— Mogę wejść?

— Oczywiście.

Przejsię jej zrobiłem, ale pokoił mój tak ciemny, że mimo iż plecami o ścianę się oparłem, ona jednak swoim biodrem o mnie się otarła. Aż dreszcz mi po plecach przeszedł. Nie wiedziałem czy ten dreszcz to od tego otarcia, czy też od ściany przeraźliwie zimnej, co za moimi plecami. Czyli znowu nasze ciała bez naszej zgody o siebie się otarły. Tak jak wtedy, kiedy pod stołkiem kolano.

Ona do biurka podeszła, ja drzwi zamknąłem. Ja jej krzesło podsunąłem, ona usiadła. Ona nogę na nogę założyła, ja na swoim krześle usiadłem. Ja się jej przyglądałem, ona mnie. Zauważyłem, że koleczki w uszach miała. Takie jakies konstrukcje z cienkiego druczka srebrnego, w które włosy się jej wplątywały i parę nawet wyrwanych na stałe w strukturę koleczka włączonych zostało. Ja na włosy jej patrzyłem, a ona zara jakby odruchowo je poprawiała. Ona chrząknęła, ja chrząknąłem. I siedzieliśmy.

— Brzydka pogoda.

— Aha — potwierdziła.

Usta jej lekko drgały, wzrok jakoś dziwnie wolno po wszystkim się przesuwiał, a błękitne żyłki na dłoniach z bladą cerą kontrastowały. Zauważyłem, że ona także się moim dłoniom przyglądała.

Chwilę w milczeniu tak siedzieliśmy wzajemnie się lustrując. Każde z nas wzrokiem drugiego unikalo.

— Lubisz czytać?

— Słucham? — brwi pytająco podniosła.

— Czytać. Powieści, wiersze i tak dalej.

— Tak, czasami czytam. Ale nie wiersze. Ry. mów nie lubię.

— To co z czasem wolnym robisz?

— Sprzątam i różne rzeczy...

Sam nie wiem co mnie podkusiło, żeby to pytanie zadać.

— A czy...

— Czy co? — nagle się zainteresowała, jakby czegoś specjalnie po moim pytaniu się spodziewała.

— Czy prowadzisz dziennik?

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, tylko tak spytałem.

— Od czasu do czasu coś sobie zapiszę, pomaga mi to nad własnym życiem się zastanowić.

Kiedy to usłyszałem z chęcią bym z pamięci wszystko wykreślił. A może dalej mi się śniło? Może znowu przez Mazowa coś napisanego czytałem? Jednak nie. Tym razem z prawdziwą Nino do czynienia miałem. Powinienem jako ostrzeżenie tę wypowiedź jej potraktować, ale tak nie zrobiłem. Dalej brnąłem, mimo że nie zapomniałem. Ciągłe ta jej odpowiedź w uszach mi dzwoniła jakby znowu notatnik Mazowa czytał, a jej ciało krępkie i tak dalej, zupełnie mi uwagę odwróciło.

Siedzieliśmy trochę jakby zahipnotyzowani, kiedy ona tak jakoś dziwnie zaczęła się poruszać. Jak zwierze drapieżne się przeciągała, aż przez sweter jej sterzące sutki się uwidoczniły. Nagle coś mojego kolana dotknęło. Myślałem, że to ona, że taki znak dała, żeby o sobie te wizyty u niej przypomnieć. Nawet się uśmiechnęła, więc i ja na ten uśmiech odpowiedziałem.

Na udzie dłoń położyłem i zacząłem ją ku kolanu Niny przesuwając. Okazało się jednak, że to



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Starłem się zgłębić istotę tego ćwiczenia gimnastycznego. I dopiero kiedy majtki na krzesło rzuciła, zdałem sobie sprawę z tego, że ona tam po drugiej stronie się roziera. Ale kiedy wreszcie sobie to uprzytomniłem, to ona już przestała się rozierać, a raczej zakończyła, bo całe to jej rozbieganie tylko na tym polegało, żeby majtki ściągnąć.

— Na co czekasz?

Właśnie. Na co ja czekam?

Potem po mojej stronie biurka stanęła. Tak szybko po tamtej stronie majtki zdjęła, że z

Chciałem do nich pójść, ale Nina znowu mnie przyciągnęła.

— Nie cofaj się — strofowała.

— Drzwi... otwarte...

— Nikt nie wejdzie,

— Ale...

— Szybkiej. Lubie szybko.

(Fragment prozy Andrzeja Tużiaka pochodzi z opowiadania pt. „Zbrodnia Ikara Mazowa”, opublikowanego w „Twórczości” nr 6 z czerwca 1986 r.)

NASZE XXX lecie



„Najbardziej potrzebna nam prawda” — mówi w lipcowym numerze miesięcznika „Literatura” dramaturg Aleksander Gelman, lat 54, uważany za prekursora nowych tendencji w rodzimym teatrze. Mówi o prawdzie, to, zdaniem Gelmana, „pokazywać to, co jest, a nie to, co powinno być”. Czyli wszystkie „trudności życia”, kłopoty, bariery, konflikty, słabości i obyczaje, cały ten, nie pozbawiony wdzięku, a przecież niełatwy dzień człowieka współczesnego, który w dobie komputerów, laserów i sputników, poszukuje odrobiny ciepła, małej chwili na miłość, na zapomnienie, na odejście od otaczającej go szarżyny.

Napisany przez Gelmana dialog pt. „Laweczka” jest prawdą, ułamkiem rzeczywistości — i mógł zostać podłożem w każdym parku w którymkolwiek z miast. Zresztą kto wie, czy tak

Dwoje na laweczce

nie było? Typowy chwyt przy podrywaniu — prosba o ogień do papierosa, siada się punktem, od którego zaczyna się i rozwija akcja, zawarta wyłącznie w słowach i gestach dwojga ludzi, nie wspomaganą ani przez dekoracje czy rekwizyty, ani przez udział osób trzecich. Jest tylko Ona, On — i tytułowa laweczka.

Już sam tekst, jego prawdziwość, którą widzę konfrontując z własnymi doświadczeniami, jego aktualność i wiarygodność, sprawiają wrażenie, jakoby aktorzy w swych rolach czuli się dobrze, a może za dobrze — co dostrzegł by zapewne skwapliwy krytyk, chcący, by wykonawca skupieniem gasił nabytą farsową momenty i wyciszał chwile tracące groteskę.

Oto rozgrywa się przed publicznością jedna z bitew w odwiecznej, trwa



NA TROPACH PRZESZŁOŚCI

Wydawnictwo Lubuskiego Towarzystwa Kultury sprawiło Czytelnikom miły prezent. Jest nim zbiór opowiadań historycznych dotyczących mało znanych epizodów z dziejów Ziemi Środkowej Nadodrza przed 1945 rokiem pt. „Na peryferiach historii”. Autor tego zbioru dr Jerzy Piotr Majchrzak — historyk i germanista pełni obecnie funkcję dyrektora Archiwum Państwowego w Zielonej Górze z siedzibą w Starym Kieście.

Zbiór J.P. Majchrzaka zawiera dwadzieścia szkiców, które autor prezentował (poza „Romeo i Julia w Klenicy”) wcześniej na łamach „Nadodrza”, czego jednak w nocy od Wydawcy nie stwierdził. Książka dzieli się na dwie części. W pierwszej z nich prezentuje Majchrzak sylwetki znanych ludzi w dziejach Europy, którzy byli związani w swym życiu mniej lub bardziej z poszczególnymi miastami Środkowej Nadodrzy. W drugiej — skupił się wyłącznie na przeszłości księstwa żagańskiego oraz ludziach żyjących w kręgu książęcej rezydencji.

Jakże wielu wybitnych ludzi przewija się przez karty tej frajdującej książki. Autor omawia m.in. pobyt Augusta Mocnego w Krośnie Odrzańskim, Albrechta Wallensteina i Jana Keplera w Zaganiu, Henryka Brühla w Brodach oraz Mikolaja Fabriego (zielenogórzanina) w Wittenberdze. Zanotował również nadodrzańskie wędrowki Stanisława Wyspiańskiego oraz koncerty Fryderyka Liszta w Zaganiu.

W nocy od Wydawcy czytamy m.in.: „Opowieści te nie odzwierciedlają przełomowych wydarzeń dziejowych, relacjonują jedynie fragmenty z życia możnych i artystów. Praca J. Majchrzaka jest rezultatem żmudnych penetracji archiwalnych. Podstawową jej zaletą

jest forma podania wiadomości lekko, z elementami dydaktyki.

Regionalni historycy ogłosili jak dotąd szereg prac naukowych i popularno-naukowych dotyczących dziejów Środkowej Nadodrzy. Stosunkowo wiele napisano o losach ludności polskiej na Pograniczu (J. Benyskiewicz, W. Sauter, W. Lemiesz), o przeszłości miast nadodrzańskich (H. Szczegółka, J. Muszyński, W. Korzec). Nieliczne jedynie prace poruszają losy ludzi, ich twórczość i powiązanie z kulturą Europy i Polski.

W podobnej nieco konwencji do zbioru esejów historycznych J.P. Majchrzaka pisali dotychczas m.in. J. Koniusz, autor rozprawy monograficznej o Taddeo Polacco z Zielonej Góry czy też W. Sauter, autor monografii historycznej o Krzysztofie Legockim — staroście babimojskim. Ale esaje Majchrzaka mają walor szczególny. Autor stara się wprowadzić czytelnika w kosmos Historii, jej codzienny rytym, pełen nastrojów, rozterek, zagrożeń i zgoda niecodziennych ludzkich decyzji oraz sytuacji.

Przypominają te szkice nieco twórczość Waldemara Łysiaka, m.in. autora fascynującej książki „Empirowy pasjans”, dotyczącej napoleońskiej legendy. Również i J.P. Majchrzak pisze o pobycie wojsk francuskich na Środko-

innego mówi — o czym nawiązałem nie wiedząc. Ale wie o tym wid i świąt — nie się bawi, pobierając równocześnie (a o tym z kolei nie wie) — wiedzę o życiu.

Była moda na Mroźka, Szaniawskiego, Gombrowicza, na Gawiłkę, „Portret” i „Egzamin”, na „Kopciucha” Głowackiego oraz inne mody. Jest teraz moda na Gelmana i dobrze, że nadążył za nią zielonogórski teatr. Widz nie jest głupi, czyta gazety, słucha radia i telewizji, toteż wie, co gdzie jest grane. Co znaczy ta „Laweczka” i o co w niej chodzi, może dowiedzieć się, spędzając jeden krótki wieczór w teatrze.

Warto wspomnieć, że zielonogórski teatr spektaklem „Laweczka” wniósł swój udział do „festiwalu germanowskiego” — że wymienię dwie spośród licznych polskich inscenizacji: Iódkę Marcela Kochańczyka w Teatrze im. Jaracza i szczecińską Ryszarda Majora w Teatrze Współczesnym. Tymczasem Teatr Polski w Bydgoszczy wystawił nową sztukę Gelmana „Zinula”, w tłumaczeniu Jerzego Koeniga „Stuknie ta”, w reżyserii Aleksandra Grigoriewa, o którym mówi się, że „gelmanizuje” radziecki teatr.

Na koniec dobre słowo dla reżysera Krzysztofa Rotnickiego, bo przecież on, jak mniemam należy, decydował, czy i w którym miejscu „wypatroszony przez rozwódki” Fiedia-Ferlak ma spać, a w którym wepchnąć koszulę w spodnie — i on — że spowodował temperament, tudzież przebiegłość Wierzy-Szostak...

Gelman chce prawdy i uważa, że realizm socjalistyczny prawdy tej wymaga — w literaturze, teatrze i w sztuce w ogóle.

HALINA AŃSKA

Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Mała Scena. Aleksander Gelman „Laweczka”. Przekład Jerzy Koenig. Reżyseria Krzysztof Rotnicki. Na zdjęciu wykonawcy: Krystyna Szostak — Ona, Maciej Ferlak — On. Premiera 6 września 1987 r.

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Co dalej?

Ciąg dalszy ze str. 1

gionalny utracił górne loty, po latach sukcesów zastanawia się, jaką wybrać drogę w odmienną sytuację społeczną, ale jego bank inicyjatyw i pomysłów nie jest pusty.

Wyraźny spadek aktywności społecznej dał się zauważyć w połowie lat siedemdziesiątych i trwa on do dziś. Nawet wezwana fala aktywności, jaka ogarnęła cały kraj na początku lat osiemdziesiątych, nie pociągnęła za sobą ruchu regionalnego. Chociaż ostatnio obserwuje się pewne ożywienie, nie jest to jednak to, co było przed 30 laty. Mówiąc o tym, prezes LTK wskazywał na próby tworzenia kół młodych milośników regionu. Już powstały takie koła w Zielonej Górze i Nowej Soli, ale aktywność ich jest skromna. Być może oczekiwania współczesnej młodzieży są inne. Prezes spytał wprost, dlaczego studenci, bardzo aktywni kulturalnie, po rozpoczęciu pracy zawodowej stają się bierni w działalności kulturalnej.

Myślę, że rozszerzył Stanisław Ciomek, sekretarz Lubuskiego Towarzystwa Muzycznego, organizację wielce zasłużoną dla kultury muzycznej Ziemi Lubuskiej. Od pewnego czasu LTM nie może w pełni realizować swojego programu, ponieważ szkolnictwo muzyczne odczuwa do-

tkliwie niedobór nauczycieli wychowania muzycznego. Niedawno LTM zawiesiło działalność ogniska artystycznego w Szprotawie, ograniczyło nauczanie w Babimoście i Zielonej Górze. Towarzystwu brakuje nie tylko nauczycieli, ale i pieniędzy na zakup sprzętu muzycznego, wyposażenie ognisk, działalność upowszechnieniową. Zdarza się, że nauczyciele pracują za darmo, gdyż kasy ognisk są puste, a obecne przepisy nie pozwalają na dofinansowywanie tego rodzaju działalności z Funduszu Rozwoju Kultury. Towarzystwo uczestniczy w realizacji programu edukacji kulturalnej młodzieży, lecz z coraz mniejszym skutkiem, gdyż brakuje mu pieniędzy. Dochodzi własne ruchu regionalnego, uzyskiwane najczęściej ze sprzedaży wydawnictw, imprez i działalności usługowej są niewielkie. Z czego więc finansować utrzymanie towarzystw? Za czyje pieniądze organizować dni regionalne, wydawać książki, kręcić filmy, uczyć muzyki?

Ruchowi regionalnemu zarzuca się nieobecność w zakładach pracy, luźne związki z organizacjami zawodowymi inżynierów i techników. Zarzuty te stawiają ludzie nie rozumiejący istoty działania towarzystw, uważający ten ruch za instytucję, a nie organizację najbardziej społeczną ze społecznych.

Z trybunu sejmikowej padły przykłady niezwykłej aktywności i członków ruchu regionalnego, i jego sympatyków. Stanisław Turowski z Brodów stwierdził wprost, że kto działa, ten się naraża. A dr Wiesław Sauter o

działaczach społecznych powiedział, że są to ludzie, którzy prócz tego, iż chcą mieć, chcą także być. Lucjan Grzeja z Lubka ukazał współpracę regionalistów z członkami innych organizacji społecznych. Kazimierz Rodak z Lubrzy domagał się większego udziału regionalistów w ochronie zasobów przyrody. Wielu dyskutantów z troską mówiło o potrzebie odnowy zabytków przeszłości, szczególnie tych, które świadczą o polskiej przeszłości ziem nadodrzańskich.

Sejmik wytyczył kierunki działalności programowej LTK i sfederowanych w nim towarzystw do roku 1991. „Podstawowym zadaniem LTK — czytamy w dokumencie — jest tworzenie kontynuowania i rozwój tradycji kulturalnych regionu zielonogórskiego i wprężanie ich do szybko zmieniających się warunków bieżącego życia kulturalnego. Wyzwalanie i animowanie autentycznych dążeń kulturalnych różnych środowisk i grup społecznych”. Sejmik za istotne zadanie uznał „wprowadzanie do kultury ogólnonarodowej najważniejszych wartości wyrażających się w lokalnych tradycjach lub też zrodzonych w naszym regionie”. Oczywiście mówi się o współpracy ze środowiskami twórczymi i instytucjami kultury, sztuki i nauki. Sejmik domagał się realizacji zapisów dotyczących budowy w Zielonej Górze gmachu szkoły muzycznej i pełnej rewolucji zabytków. Zar. LTK i sfederowane w nim towarzystwa będą podejmowały działania zmierzające do reaktywowania lub inicjowania społecznego ruchu w nowych środowiskach i miejscowościach. Zrealizowanie tego programu będzie ułatwione, jeśli ruch regionalny zostanie wsparty przez organizacje polityczne, młodzieżowe, związki zawodowe, ogólna PRON. Szczegółnej pomocy LTK oczekuje od administracji państwowej. W najbliż-

wym Nadodrzu w latach 1807—1814 w szkicu „Napoleoniści w Zielonej Górze”. Łysiak dał impuls. Majchrzak zapewne z niego skorzystał.

Gorąco polecam czytelnikowi książkę zielonogórskiego entuzjasty przeszłości Ziemi Środkowej Nadodrza. Jest to przykład — rzecz by można słowami Tadeusza Kotarbińskiego — dobrej roboty. Majchrzak udowodnił, że źródło archiwalne może również tętnić życiem, ożył dla szerszego grona odbiorców — nauczycieli, dziennikarzy, studentów i uczniów, wszystkich interesujących się historią regionalną. Oby więcej takich książek mogło ujrzeć światło dzienne w niedalekim czasie.

Przy całej atencji wobec autora niniejszej książki pragnę jednak zauważyć, iż nie wszystkie pomieszczone w zbiorze szkice posiadają jednakowy walor poznawczy i w równym stopniu fascynują. Do słabszych tekstów zaliczam m.in. esej o charakterze li tylko opisowym „Napoleoniści w Zielonej Górze” lub „Ród Rimondinich”. Nie umniejsza to jednak społecznej wagi tej publikacji.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Jerzy Piotr Majchrzak, Na peryferiach historii. Zielona Góra 1987. Wydawnictwo LTK. Nakład 3 000 egz. stron 106. Cena zł 190.

ALFRED SIATECKI

SKŁAD RADY LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Joachim Benyskiewicz (Z. Góra), Ludwik Błaszczyk (Z. Góra), Ryszard Bucholski (Nowa Sól), Ryszard Bujalski (Jasień), Tomasz Bumbul (Bieganów), Grzegorz Chmielewski (Z. Góra), Stanisław Ciołek (Z. Góra), Julian Dobosz (Z. Góra), Tadeusz Dobosz (Z. Góra), Jadwiga Dysiewicz (Bytom), Barbara Fijałkowska (Z. Góra), Zdzisław Gruberski (Z. Góra), Roman Garbowski (Z. Góra), Czesław Gordziński (Świebodzin), Bernard Grupa (Sulechów), Edward Hajduk (Z. Góra), Jan Ignacy (Z. Góra), Edward Jabłoński (Nowa Sól), Zbigniew Jaraczewski (Torzym), Tomasz Jaworski (Zary), Alicja Karpowicz (Z. Góra), Rudolf Kowalski (Z. Góra), Janusz Koniusz (Z. Góra), Włodzimierz Kwaśniewicz (Z. Góra), Jan Kołodziej (Z. Góra), Barbara Kolodziejska (Z. Góra), Bolesław Kolakowski (Lubrza), Romuald

Karpowicz (Z. Góra), Marek Kuc (Babimost), Ignacy Łoziński (Z. Góra), Jan Muszyński (Z. Góra), Włodzimierz Maciejowski (Z. Góra), Jerzy P. Majchrzak (Z. Góra), Henryk Napierała (Kozuchów), Kazimierz Nowik (Z. Góra), Czesław Olejnik (Wolsztyn), Sobiesław Piontek (Z. Góra), Stanisław Piatycki (Z. Góra), Ireneusz Plechan (Babimost), Jerzy Przybecki (Z. Góra), Stanisław Przeniczka (Zbąszyn), Mirosław Rataj (Z. Góra), Tadeusz Rygiel (Lubsko), Włodzimierz Rogowski (Gubin), Kazimierz Rodak (Lubrza), Adam Sławczyk (Zagań), Czesław Szutta (Nowogród), Irena Sinicka-Szeja (Łagów), Marian Sibiłło (Krosno), Stanisław Turowski (Brody), Marian Śmieć (Siedlec), Alfred Siatecki (Z. Góra), Jan Szachowicz (Z. Góra), Jerzy Synder (Nowa Sól), Franciszek Tonder (Z. Góra), Ryszard

Tomczak (Zary), Jerzy Wyrwa (Z. Góra), Mieczysław Wojecki (Lubsko), Stanisław Wesołowski (Jasień), Jerzy Winzaruk (Zagań), Wiesław Zdanowicz (Świebodzin), Ferdynand Zuber (Szprotawa).

Prezydium Lubuskiego Towarzystwa Kultury:

Julian Dobosz — prezes, Janusz Koniusz, Ryszard Bucholski — wiceprezesi, Włodzimierz Maciejowski — skarbnik, Alicja Karpowicz — sekretarz, Barbara Fijałkowska, Zdzisław Gruberski, Jan Ignacy, Tomasz Jaworski, Ignacy Łoziński, Sobiesław Piontek, Alfred Siatecki, Jan Szachowicz, Jerzy Wyrwa, Wiesław Zdanowicz — członkowie.

Komisja Rewizyjna

Irena Berlińska — przewodnicząca, Krzysztof Dobrowolski, Stanisław Chęciński, Marian Utrata, Bolesław Sidoraka, Romuald Szura, Leon Zynda — członkowie.

Sąd Koleżeński

Henryk Ankiewicz, Michał Horowicz i Leszek Ławruszczuk.

Dni Muzyki

W Zielonogórskim i Gorzowskim odbyły się tradycyjne, doroczne spotkania muzyczne; w Zielonej Górze po raz dwudziesty piąty, w Gorzowie po raz siódmy. Wystąpili m.in. w Gorzowie artyści z Opery Bałtyckiej, Państwowa Orkiestra z Eberswalde-Finow (NRD), zespoły choralne i soliści, natomiast w Zielonej Górze — skrzypek — Konstanty Andrzej Kulka (czytaj str. 3), Krzysztof Jabłoński — pianista, Orkiestra Kameralna Polskiego Radia i Telewizji w Poznaniu pod dyrekcją Agnieszki Duczmal. Organizatorami dni były towarzystwa muzyczne i instytucje upowszechniania kultury. Szerzej o tych imprezach w następnym numerze.

Dar artystki

Na otwarcie wystawy malarstwa Bartłomieja Kurki i rysunku Marii Zantow-Kurki do zielonogórskiego salonu BWA przybyło wiele osób. B. Kurka, choć na stałe mieszka w Poznaniu, tworzył także na Ziemi Lubuskiej. W Łagowie i Klenicy powstały m.in. obrazy „Noc nad Odrą”, „Nadodrzańskie”, „Mileczka woda”, „Jeziorko Łagowskie”, „Zielone mleczko Łagowa”, ponadto kilka pasteli. Na tej wystawie zgromadzono 28 obrazów olejnych, 37 pasteli i akwarel, powstałych w latach 1970-82. Początkowo B. Kurka malował martwe natury, fascynował się sztuką abstrakcyjną. Na początku lat 60. artysta zainteresował się pejzażem, rezygnując z rysunku na rzecz koloru. Były to prace olejne — pejzaże zachmurzone. Potem zaczął tworzyć pastele, a pod koniec swojego życia powrócił do krajobrazu, wykorzystując doświadczenia z wnikliwej obserwacji natury. W jego malarstwie dominują brzozy, ugry i brzozy, czasem pojawia się cieniutka kreska bieli. Jest to malarstwo refleksyjne, bogate w przeświadczenia artystyczne, bardziej symboliczne niż opisujące rzeczywistość. „Chyba podświadomie był poeci. Świadczą o tym tytuły prac — nie we wstępie do katalogu Jerzy Chłodziński — ale także ich klimat, barwa i zawsze budzący nośną, zadumę jakąś punkt uwagi, znaczący często więcej niż słowa mogą wyrazić”. BWA wydało czarno-białą kartkę, w której wydrukowano reprodukcje prac artysty: pasteli, wstępu i omówienia jego twórczości, pomieszczono 4 liryki Jerzego Chłodzińskiego, przyjaciela malarza. W małej sali BWA Maria Zantow-Kurka wystawia swoje rysunki, ale jakże? Artystka jest kontynuatorką szkoły rysunku mistrzów tej miary co Hilary Polanski i Andrzej Jeziorkowski. Posługuje się techniką ołówkową, jak i sanguiną. Na wystawie zgromadzono 45 rysunków, w tym 15 wykonanych sanguiną, czyli miękką czerwono-brunatną kreską. Podczas spotkania w BWA artystka przekazała Lubuskiemu Muzeum Wojskowemu w Drzonowie 8 pasteli swojego zmarłego przed czterema laty męża. Powstały one podczas pleneru zorganizowanego przez Wojsko Polskie w 1982 r. Prace te noszą tytuły: „Ostry start”, „Radiostacja”, „Po burzy”, „Lotnisko”, „Nocne loty”, „Szary dzień”, „Rad”, „Start dwójki”. 5 obrazów olejnych B. Kurki otrzymało Biuro Wystaw Artystycznych. Pastele będą eksponowane na stałe w Drzonowie, a obrazy olejne wraz z innymi dziełami artystów polskich w klubach i domach kultury naszego regionu.

Dni Prasy Ludowej i Książki

Od dwu lat z inicjatywy Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego są organizowane Dni Prasy Ludowej i Książki. Wojewódzka inauguracja Dni w Zielonogórskim odbyła się w Brodach i była połączona z gminnym Świętem Płonów. Spotkanie w Brodach poprzedziły wieczory, podczas których dziennikarze z pism wydawanych przez „Prasę ZSL” rozmawiali z czytelnikami. Na uroczystości do Brodów przybyli także literaci lubuscy, którzy podpisali swoje książki. W czasie Dni odbywały się pokazy osiągnięć Kół Gospodyń Wiejskich, kiermasze, a także koncerty. Na estradzie w Brodach wystąpiły m.in. zespół folklorystyczny „Maki” z Zielonej Góry i „Górale Czadecy” ze Złotnika. Dochód uzyskany ze sprzedaży fanów — blisko 200 tys. zł — przeznaczono na rozbudowę Szkoły Podstawowej



w Brodach. Uroczystości odbywały się przed pałacem posiadającym duże wartości zabytkowe. Stanisław Kowalski w swojej pracy „Zabytki środkowego Nadodrza” pisze, że (zespół urbanistyczny Brodów) jest przykładem realizacji zaplanowanego kompleksowo założenia przestrzennego z okresu baroku. I dalej dodaje, że pałac znajduje się w trakcie adaptacji do celów rekreacyjno-wypoczynkowych Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie. Z przykrością stwierdzamy, że nie dostrzeżliśmy ani brygad budowlanych, ani niczego, co by wskazywało na jakiegokolwiek zainteresowanie lubinian tym zabytkiem.

Sesja naukowa w Żaganianiu

W czasie II wojny światowej w Żaganianiu znajdował się obóz dla jeńców różnych narodowości, w tym także dla jeńców-żydów. O tamtych tragicznych dniach przypominają dokumenty zgromadzone w Muzeum Martyrologii Alianckich Jeńców Wojennych. Pod koniec września br. w Żagańskim Pałacu Kultury Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce — Instytut Pamięci Narodowej oraz Lubuskie Towarzystwo Naukowe zorganizowali sesję naukową na temat doświadczeń jeńców wojennych w III Rzeszy. Referaty wygłosili wybitni specjaliści z całego kraju. Podczas sesji kilku działaczy Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa otrzymało wysokie odznaczenia państwowe, wśród nich: płk Hieronim Kosior — wicekurator Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze i red. Zbigniew Szydłowski — komentator „Gazety Lubuskiej”.

Gorzowianie za granicą

Część zespołu Teatru im. Juliusza Osterwy przebywała we Frankfurcie nad Odrą w NRD, gdzie odbywały się spotkania teatrów dramatycznych z Gorzowa, Frankfurtu i Wraci (Bułgaria). Procz złożenia informacji o swoich osiągnięciach twórczych, gorzowianie pokazali fragment próby sztuki pt. „Taniec Łazarza” bułgarskiego autora Jordana Radickowa. Podczas tego spotkania uzgodniono że dyrektor sceny gorzowskiej Antoni Baniukiewicz wyreżyseruje we Frankfurcie nad Odrą sztukę Ireneusza Iredyńskiego pt. „Zegnął Judasz”, do której scenografię przygotował gorzowianin Ewa i Wiesław Strebekowie.

Diecioccy Zespół Tańca Ludowego „Mali Gorzowianie”, działający przy Młodzieżowym Domu Kultury w Gorzowie, reprezentował Polskę na międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Czechosłowacji.

Laureaci

Danuta Kuleszyńska (Mystkowska) z Zielonej Góry otrzymała jedną z dwu głównych nagród za wiersz w konkursie ogłoszonym z okazji Warszawskiej Jesieni Poezji. Kazimierz Jankowski z Gorzowa został laureatem konkursu literackiego V Prezentacji Artystycznych Robotników w Szczecinie.



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-001 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, i p. oraz adres dla korespondencji: 65-025 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 46. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 188-35, sekretarz redakcji 19-13 oraz centrala 46-61 do 1 (dla telefonów wewnętrznych). Telefax 943225. Redaguje zespół: Halina Adelska-Szabek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masło-

wska (statystka), Zenon Łukaszewicz (tłaczka red. naczelny), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski, Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, Korkuta, Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz tel. 117-95. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i fotografie) nie zamówionych redakcja nie swraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

B-21



Żyjesz tylko dwa razy

Filmy z Bondem to już cała historia i legenda kina. „Ojcem” superagenta 007 jest emerytowany oficer angielskie go wywiadu, a późniejszy pisarz, Ian Fleming. Od czasu pierwszej filmowej realizacji przygód Bonda minęło dwadzieścia pięć lat. Choć żaden z kilkunastu filmów z tym bohaterem nie był oficjalnie wyświetlany w państwach socjalistycznych, to można śmiało stwierdzić, że postać Bonda od dawna już na leży do światowej subkultury, a jego filmowe wyczyny — choćby za pośrednictwem prasy — znane są również w Polsce. „Embargo” na Bonda w państwach socjalistycznych wynika z ogólnie znanych naturalnych przyczyn: pierwsze filmy spod znaku 007 były produktem zimnowojennej polityki, a superagent zwalczał i ośmieszał komunizm na wszystkich kontynentach. W momencie gdy żelazna kurtyna opadła, zmieniła się wymowa tych filmów. Bond przestał walczyć z komunistami, a przestawił się na różnych maniaków zagrażających

ludzkości i światowemu łańdowi. W najnowszym filmie z tego cyklu Bond nawet współpracuje z oficerami radzieckiej wywiadu. Ten inny kurs propagandy widoczny jest już w „Żyjesz tylko dwa razy”, który powstał w 1967 roku. Dwadzieścia lat kina odcisnęło na nim swoje piętno. Po wyczynach Rambo i innych nadludzi kina naszej epoki przylizany Sean Connery budzi już nie uśmiech politowania, a po prostu pi stolet pod smokiem w porównaniu z kuzynami miotającymi strzały z nitrogliceryną, karabinami wielkości haubicy, czy dwoma pałkami na łańcuchu, po zwala powątpiewać w siłę uderzenia — superagenta. Bond posiadał jedną przewagę nad dzisiejszymi mistrzami od samoobrony i zabijania — w każdym filmie miał przynajmniej jedną kobietę, dzisiejsi panowie mają jedną albo wcale. I te wszystkie panie do dziś zachwycają swoją urodą.

W „Żyjesz tylko dwa razy” superagent walczy z superorganizacją usiłującą sprokować konflikt między mocarstwami. Organizacja chcąc zrealizować swoje nielegalne zamiary porwala do Amerykanom, to Rosjanom statki kosmiczne wraz z załogami. Wszystko to robione jest przy pomocy bardzo skąpiłkowanych urzędników i wielkiego kapitału będącego w posiadaniu niejakiego Tanakia, czarnego charakteru o wybuchliwych ambicjach. Wszystko kończy się szczęśliwie. Smoking Seana Connery'ego chowuje swoją świeżość, włosy, błyszcząc jak i jego nieskazitelnie białe zęby, które ukazują w filuternym uśmiechu. Film warto zobaczyć bo to i wspaniała zabawa dla kina i w końcu wielka legenda masowej kultury. Dla

uzupełnienia dodam, że w postaci Bonda wcielał się również dobrze znany Roger Moore, najnowszy „Bond” nosi tytuł „Żyje światła dnia”, a w roli głównej występuje Timothy Dalton. Film jest podobno znakomity w swoim gatunku, o czym świadczą kasowe i frekwencyjne rekordy.

Zebra — 1

Zebra — 1 to nazwa atrakcyjnej stacji naukowo-badawczej ale film ten nie ma nic wspólnego z geograficznymi odkryciami. Pośród wiecznych śniegów toczy się rozgrywka przedstawicieli wielkich mocarstw, a przedmiotem zmagania jest za sobik ze szpiegowskiego satelity. Film powstał na podstawie powieści Alistaira MacLeana, zmarłego w zeszłym roku niekoronowanego króla powieści sensacyjnej. Związek MacLeana z kinem jest nieprzypadkowy. Jego opowieści są niemal gotowymi scenariuszami filmowymi, co potwierdziło się w praktyce: przypominne choćby znakomicie „Dziesiąt Nawarony” i „Tylko dla orłów”. W przypadku „Zebra — 1” mistrzowi zabrakło niestety inwencji, w filmie widoczne są braki scenariusza, brak mu tempa i zaskakujących rozwiązań, a czego słychać na powieści MacLeana. Wyrażają się tu zamiary epatowania widza polityką w wydaniu dla kucharek. Imponująca jest jedynie scena desantu radzieckich spadochroniarzy. Zmusza też do refleksji sarkastyczna puenta filmu, ale tej nie zdradzę, ci którzy wytrzymają „Zebra 1” do końca, zrozumieją, o co mi chodziło. FAN

Panorama krośnieńska

Z niektórymi zespołami artystycznymi pracują animatorzy kultury. Obecnie mamy ich dziesięć. Szkoda, że tylko tyłu, bo doświadczenie uczy, iż tam, gdzie oni pracują, działalność kulturalno-oświatowa jest bogatsza, bardziej ożywiona i różnorodna. Niestety, nie mamy możliwości zatrudnienia większej ilości tego typu fachowców, z prostych przyczyn: kłopotów z ich pozyskaniem oraz braku odpowiednich funduszy.

Oczywiście, poza wspomnianymi zespołami i kółkami zainteresowań w naszych klubach odbywają się gry i zabawy dziecięce, wyświetlania im bajki, dla dorosłych przeprowadzane są odczyty i prelekcje przy pomocy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, odbywają się spotkania z dziennikarzami i pisarzami lubuskiego regionu, młodzie bawią się na dyskotekach.

— Z dotychczasowej rozmowy wynika, że działalność waszych klubów przebiega jakby bez zakłóceń...

— To nie jest tak. Mamy spory pakiet trudności i kłopotów różnego rodzaju. Ot, chociażby z fluktuacją gospodarzy klubów, którzy za niskie wynagrodzenia nie zawsze chcą u nas dłużej pracować i po prostu przechodzą do lepiej płatnych zawodów. Sporo kłopotów przysparzają remonty, prowadzone przez urzędy gminy i innych właścicieli budynków, w których znajdują się nasze kluby. Ale w sumie nie zacięra to obrazu tej aktywności społecznej, o której wspominałam. Dowodzą tego chociażby kluby w Łagowie k. Krosna, Chociczu, Sękowicach, Szczawnie, Grzmiącej, Kosierzu i wielu innych miejscowościach.

— Dziękuję za rozmowę.

ZENON CZARNOWSKI



Nowości Wydawnictwa Poznańskiego

- Pentti Haanpää: POMYSŁ GUBERNATORA. Przekład z fińskiego: Bolesław Mroczewicz. Seria dzieł pisarzy skandynawskich. Wyd. I, str. 107. Nakład 10 300 egz. Cena 150 zł.
- Vilhelm Moberg: IMIGRANCI. Przekład ze szwedzkiego Maria Olszanka i Halina Thylwe. Seria dzieł pisarzy skandynawskich. Wyd. I, str. 341, 2 nrb. Nakład 15 000 egz. Cena 530 zł.
- Tadeusz Pawlak: CZAS ODKOPANY. Wiersze wybrane i nowe. Wybór tekstów i przedmowa: Zbigniew Zielenka. Wyd. I, str. 185, 2 nrb. Nakład 1 000 egz. Cena 180 zł.
- Maria i Lech Trzeciakowscy: W DZIEWIĘTNASTOLECIU POZNAŃ. Wyd. II, str. 533. Ilustracje: m. p. nrb. Nakład 20 000 egz. Cena 600 zł.
- Zofia i Karol Zierhoferowie: NAZY WY MIAST WIELKOPOLSKI. Wyd. I, str. 185. Nakład 10 300 egz. Cena 220 zł.

Konkurs na rysunek satyryczny pt. „Sztuka”

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy przy współudziale wielu instytucji, w tym redakcji „Nadodrza” w Zielonej Górze, ogłaszają konkurs otwarty na rysunek satyryczny, związany ze szeroko pojmowaną tematyką poświęconą sztuce.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie w terminie do dnia 15 grudnia br. rysunków — maksymalnie 5 — o dowolnym formacie, wykonanych dowolną techniką, na adres Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, ul. Westerplatte 19, 65-052 Zielona Góra.

Ogłoszenie wyników i otwarcie wystawy pokonkursowej nastąpi w maju 1988 roku. Przewidziano następujące nagrody: Grand Prix — 50 tys. zł, I — 40 tys. zł, II — 30 tys. zł, III — 25 tys. zł oraz wyróżnienia i nagrody instytucji — współorganizatorów konkursu.

Hajda trojka, pierestrojka!

WIESŁAW HŁADKIEWICZ — historyk, politolog